

Szkoła Ekonomiczna
Biblioteka
Główna
ul. Żytna 17/19 — w Sopocie

II RAID NARCIARSKI PTTK

W KTÓRYM UDZIAŁ WZIEŁO BLISKO 3 000 NARCIARZY
BYŁ DOSKONAŁĄ PROPAGANDĄ TURYSTYKI NARCIARSKIEJ

(Patrz fotoreportaż wewnątrz numeru)

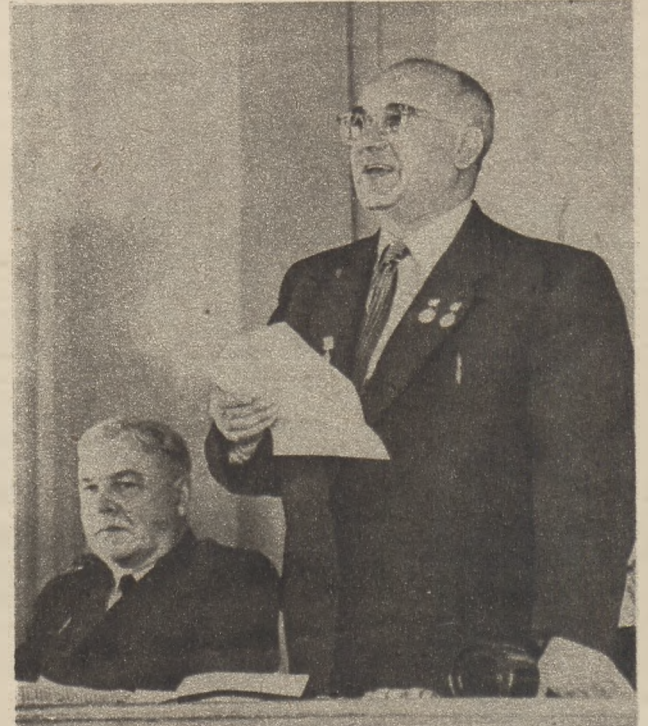
Fot. „ŚWIAT” — K. Jarochoński

WZNOWIONO OBRADY VII SESJI ONZ



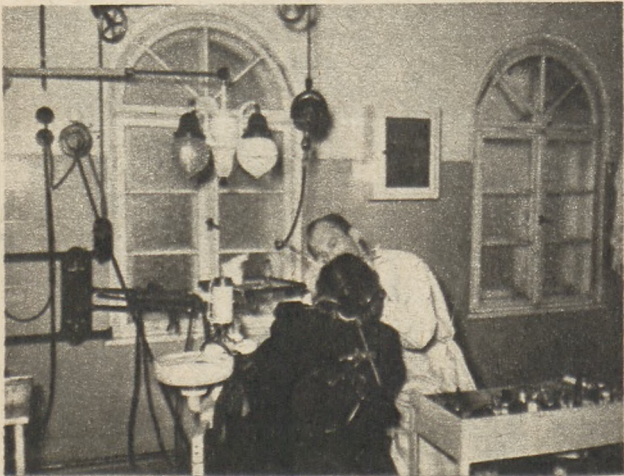
CAF
Druga część VII sesji ONZ rozpoczęła się 24 lutego. Delegacji polskiej w składzie: ambasador Józef Winiewicz, min. Juliusz Katz-Suchy i min. Henryk Birecki przewodniczy minister Stanisław Skrzyszewski (pierwszy z lewej), którego na dworcu warszawskim pożegnali: wicemin. Marian Naszkowski i dyr. Stanisław Tołwiński.

NAGRODA STALINOWSKA DLA PISARZA NIEMIECKIEGO



CAF
Znany pisarz niemiecki, Johannes Becher (przemawiający), otrzymał jedną z tegorocznych Nagród Stalinowskich „Za utrwalenie pokoju między narodami”.

ZAKŁADOWY GABINET DENTYSTYCZNY



CAF
Zakłady Przemysłu Lniarskiego w Oldrzychowicach posiadają wzorowo urządzony gabinet dentystyczny, którym kieruje lekarz-dentysta Władysław Kopeć.

BIOLOGIA INTERESUJE NAJBARDZIEJ



CAF
Młodzieżowy Dom Kultury w Częstochowie prowadzi liczne pracownie naukowe. Wielkie zainteresowanie budzi gabinet biologiczny, wyjaśniający tajemnice życia.

MŁODZIEŻ NIEMIEC ZACHODNIH PRZECIW WOJNIE



CAF
Na Targu Rybnym w Hamburgu postępową młodzież Niemiec zach. ustawiła czołg z napisem: „Układ ogólny – wojna. Przed tym uchroni nas tylko traktat pokoju”.

WZRASTA MECHANIZACJA NASZEGO ROLNICTWA



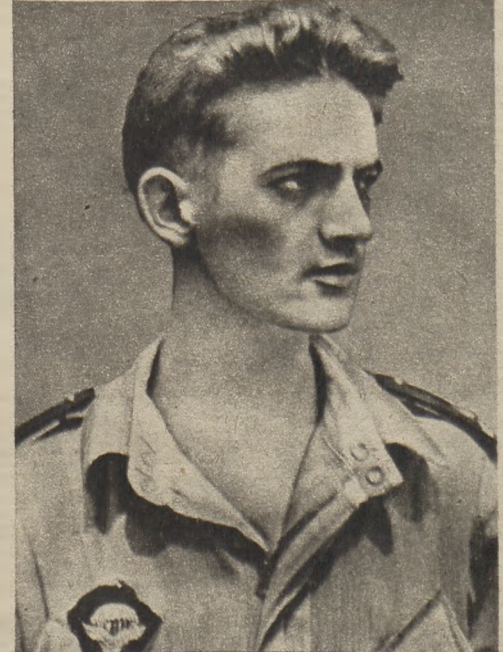
CAF
Z Czechosłowacji przybyły nowe traktory „Zetor 25-K”, które zasila park mechaniczny naszych POM-ów i PGR-ów. Rozdziałem zajmuje się Techniczna Obsługa Rolnictwa w Komprachcicach (woj. opolskie).

BYŁA TO CUDNA WYCIECZKA



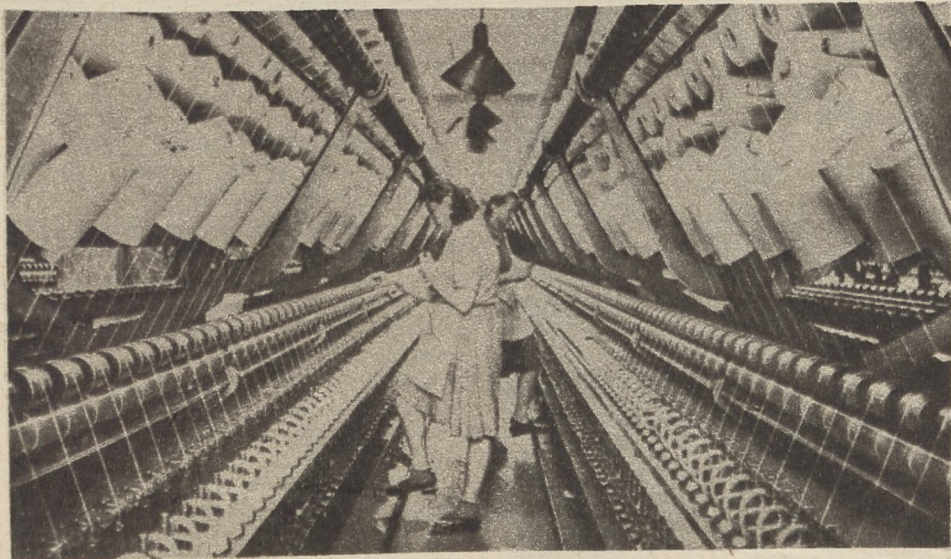
CAF
Białowieżę odwiedziła 400-osobowa grupa robotnic i robotników z Łodzi. Tę udaną wycieczkę zorganizował „Dziennik Łódzki” wraz z P.B.P. „Orbis”.

AWANS ZBRODNIARZA



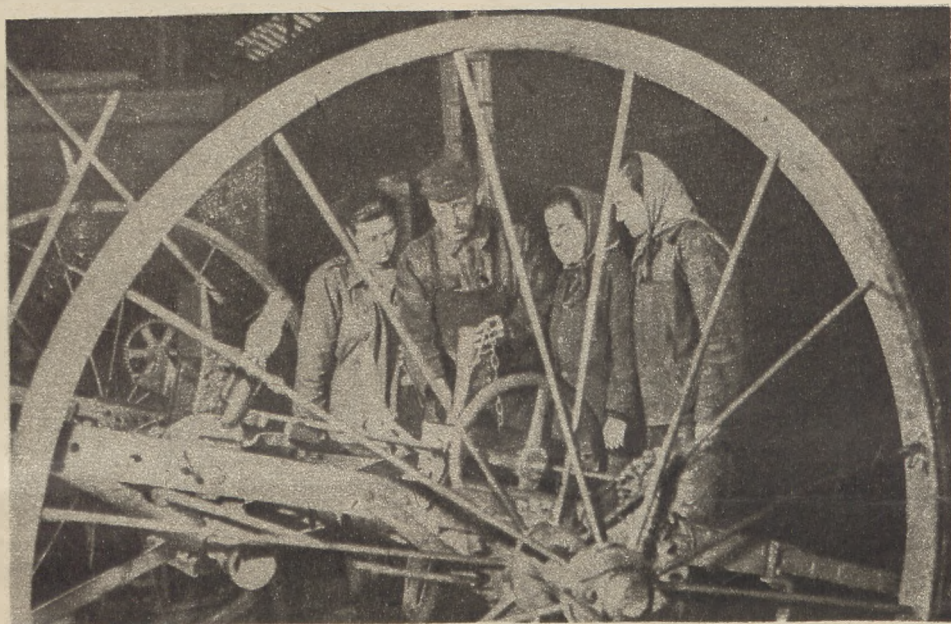
Ten SS-man Hoelinger, zbrodniarz z Oradour, jest inspektorem policji w Wietnamie. Oto dlaczego zbrodniarze unikają kary.

WZOROWA PRZEDZALNIA



Przemysł w Węgierskiej Republice Ludowej rozrasta się. Ostatnio Zakłady Włókiennicze w Budapeszcie wyposażono w najnowocześniejsze maszyny przędzalnicze.

TU DOPIERO SĄ BEZPIECZNE



Prześladowana przez rząd faszystowski młodzież grecka troskliwą opiekę znalazła w NRD, gdzie o ile nie kształcą się na uczelniach, znajduje pracę w przemyśle i rolnictwie. Te trzy młode Greczanki skończyły kurs dla traktorzystów i pod kierownictwem majstra Klaussa przygotowują się do prac wiosennych przy orce i siewie.

W OBRONIE MAŁŻONKÓW ROSENBERG



Przed ambasadą USA w Londynie krążyły pikiety demonstrantów, domagających się ułaskawienia Rosenberga. Protest świata przeciw haniebnemu wyrokowi odniósł skutek. Wykonanie wyroku odłożono i możliwa jest rewizja procesu

SWIAT

NASZA KRONIKA

JEDEN z przewodniczących spółdzielni produkcyjnych w czasie pierwszego zjazdu łączy tej spółdzielczości powiedział:

— Nie tak łatwo przeskoczyć z własnych sześciu hektarów na spółdzielcze sześćset hektarów!

W oszczędnych słowach dawny chłop, prowadzący gospodarkę indywidualną, dziś uczestnik i kierownik gospodarstwa zespołowego, wyraził ogrom trudności stojących przed pionierami i realizatorami nowych form gospodarowania. Jest to problem umiejętności spojrzenia społecznego na wielkie, wspólne gospodarstwo. Powiedzmy sobie szczerze: jeden z podstawowych problemów budowy socjalizmu — i na wsi i w mieście.

Swoje zyski, swoje „zarobki”, swoje prawo do wycisku mas pracujących kapitaliści i obszarnicy uzasadniali (a na Zachodzie robią to do dziś) przy pomocy fałszywej, oszukańczej teorii o swej niezbędności społecznej. Mówili (a gdzie jeszcze mają dziś głos, tam mówią dalej), że te zyski, ciągnięte z robotniczej, fernalskiej, chłopskiej i inteligentkiej pracy, to nie jest nic innego jak godziwe dla kapitalistów wynagrodzenie za trudy ponoszone przy organizowaniu i kierowaniu życiem gospodarczym. Dowodzili oni, że garstka ludzi, którą stanowili, to doborowa kadra najzdolniejszych, jedynie zdolnych ludzi, elita organizatorska narodu, umiejscowiona do prowadzenia produkcji w przemyśle i w rolnictwie, jak i zaopatrzenie społeczeństwa we wszelkie potrzebne mu przedmioty, żywność, mieszkania, komunikację, prąd elektryczny, gaz itp. Słowem, że bez nich, bez kapitalistów i obszarników, narody rozpadłyby się, nastąpiłaby era dzikości i całkowitej dezorganizacji.

Był to (i jest dalej na Zachodzie) swoisty rasizm kapitalistyczny, głoszący, iż istnieje specjalna, nieliczna rasa władców, organizatorów przemysłu, handlu i rolnictwa, posiadająca z tytułu swoich wyjątkowych funkcji prawo do zysków, do wspaniałego życia, no i oczywiście monopol władzy politycznej. Burżuazja twierdziła, że poza nią nie ma w narodach żadnej innej klasy, która by potrafiła organizować produkcję, a więc tym samym umożliwiać życie i rozwój narodom.

WŚCIEKŁOŚĆ imperialistów z powodu wybuchu i zwycięstwa Rewolucji Październikowej brała się stąd, że ta Rewolucja pokazała całemu światu, że w łonie narodów wyrosły i dojrzały już siły społeczne, które potrafią zastąpić burżuazję i obszarników. Ba! nie tylko zastąpić, uruchomić opuszczone przez właścicieli fabryki oraz zarość i zasieć pańskie pola, ale pokierować gospodarką tak, że weszła ona na drogę nieograniczonego rozwoju.

Podobnie stało się i w naszym kraju. Czasami już o tym przełomie zapominamy; obecny stan rzeczy stał się dla nas już jak najbardziej „naturalny”. Ale zastanówcie się: nie tylko uruchomiliśmy naszą gospodarkę, nie tylko odbudowaliśmy ją ze zniszczeń, ale dokonujemy wielkiego dzieła

jej rozwoju — i to wszystko bez kapitalistów i obszarników, rzekomych bożych pomazańców, którym siły wyższe zlecić miały kierowanie gospodarką, dając na ten cel specjalne mózgi, uzdolnienia, charaktery. Ba! Dla każdego jest jasne, że to wszystko dzieje się właśnie dzięki temu, że ci oszukańscy zbawcy narodów i ludzkości zostali całkowicie odsunięci od władzy politycznej i pozbawieni swojej roli kierowniczej w gospodarce.

Okazało się, że robotnicy, chłopci, inteligenci to wspaniałe, nowe wielkie twórcze siły, mające możliwość ujawnienia swoich zdolności, talentów właśnie po przepełnieniu właścicieli, dyspozytorów i akcjonariuszów.

Wystarczyło posłuchać dyskusji na pierwszym zjeździe spółdzielczości produkcyjnej, wdać się w rozmowę z tym czy innym delegatem, popatrzeć po sali. Cztery tysiące chłopstwa pracującego i jaka godność, jaka swada na mównicy, jaka powaga i jaki humor, jakież mądre spojrzenie na sprawy własnej spółdzielni i na sprawy ogólne, jaki patriotyzm i jakie zrozumienie spraw gospodarczych i politycznych! Obradowali w Polsce międzywojennej nieraz na swoich zjazdach ziemianie, ale jakoś nie słychać było, by jakaś jaśnie pani dziedziczka z kurzyni, móżdżkiem cokolwiek zaszczebiotała. A tutaj: dojarka, chlewnistrzyni mówi, a słuchają jej tysiące ludzi na sali i przez radio, słuchają kierownicy Partii i Rządu, bo jest czego słuchać, jest mądrość, doświadczenie, zapal.

SŁOWA tych chłopów i chłopów są proste. „Nie umiem mówić inaczej niż tak jak robie” — tłumaczy się jeden z mówców. Bo też nie ma piękniejszego i bardziej przekonującego sposobu mówienia. Czyż można piękniej powiedzieć niż ten mówca, który nawołując do wciągania młodzieży do pracy w spółdzielniach produkcyjnych wzywał, żeby wszystko uczynić, by ta młodzież „zakochała się w pracy na roli”.

Wielka siła ludowa doszła do pełnego głosu w naszym przemyśle, w naszej gospodarce z tym właśnie jeszcze wyjątkiem: z wyjątkiem wsi. Został tam jeszcze wicedziedzic — kułak. Ze sprawozdań z działalności spółdzielni produkcyjnych wynika, że nasze rolnictwo tak samo jak obywatel się bez pana, tak samo obyć się może bez kułaka. Z tym samym skutkiem, z jakim obywatel już dziewięć lat bez fabrykantów i bankierów. To znaczy ze skutkiem „wspaniałego rozwoju i rozkwitu”.

„Kułak” znaczy zaciśnięta pięść. W tej zaciśniętej pięści ściska jeszcze bogacz wiejski dobrobyt chłopca, jego możliwości rozwoju, rozwój naszego rolnictwa, ściska sprawę budowy socjalizmu na wsi. W tej zaciśniętej pięści tkwi jeszcze nie tylko niejeden chłop u kułaka zadłużony, ale i niejeden dusza chłopska. Spółdzielczość produkcyjna rozwierze pięść, która jak dawna fabrykancka i obszarnicza nikomu już nie zagrozi i niczego w Ojczyźnie nie zdoła zahamować.

JAN SZELĄG

K. CHYLIŃSKA

WSRÓD czterotysięcznej z górą rzeszy uczestników Krajowego Zjazdu Spółdzielczości Produkcyjnej znaleźli się Stanisław Pawlak i Ludwika Heniszowa.

Nie wiem — Czytelniku — czy ich pamiętasz, więc przypomnę Ci, że Stanisław Pawlak jest sekretarzem organizacji partyjnej w Śliwnie, jednej z najstarszych spółdzielni produkcyjnych w powiecie nowotomyskim, a Ludwika Heniszowa jest czołową działaczką w Marszewie, w jednej z najmłodszych spółdzielni produkcyjnych tego samego powiatu. Oboje byli bohaterami reportażu pod tytułem „Szeroka droga”, opublikowanego w poprzednim numerze „Świata”.

Od chwili mego u nich pobytu, to znaczy od dwóch tygodni, do spółdzielni w Śliwnie zgłosiło się trzech nowych członków. Tak uczczono w tej gromadzie Powiatowy Zjazd delegatów spółdzielczych w Nowym Tomysku. Z kolei zaś na Zjeździe Powiatowym w Nowym Tomysku spółdzielcy ze Śliwna zobowiązali się na cześć Zjazdu Krajowego pomagać nowozałożonej spółdzielni marszewskiej, by prędzej rosła w siły i w doświadczenie.

Myślę, że podczas obrad Zjazdu Krajowego w Hali Mirowskiej wielu dziennikarzy, literatów czy pisarzy odszukało swych znajomych ze spółdzielni produkcyjnych. I dowiedziało się — tak jak ja — że na nowej wsi polskiej żaden nowy tydzień nie jest podobny do starego. Jeśli z trybuny padały słowa, które utrwalone w stenogramach, staną się źródłowymi dokumentami przemian wiejskich w skali lat i dziesięcioleci — to owe rozmowy ze znajomymi spółdzielcami dzieliły historyczną perspektywę na miesiące, tygodnie i dni. Jedne i drugie — słowa z trybuny i słowa z rozmów — pokazywały z jaką szybkością pędzi życie, gdy dotrze doń idea socjalizmu. Jak ginie przekleństwo chłopskiej mitręgi, co kark przez całe wieki zginała do ziemi. Jak w wiejskiej gromadzie, przez wieki ciemnej i ciemnionej, rodzą się dążenia i talenty. Jak umie walczyć o nowe życie chłopobojownik, gdy po wiekach niewoli życie to obdarzyło go ludzką godnością.

Stanisław Pawlak i Ludwika Heniszowa patrzyli i słuchali. Dowiedzieli się na przykład od swego towarzysza, Andrzeja Parola, przewodniczącego spółdzielni produkcyjnej Koniowo na

NAJWAŻNIEJSZE ZADANIA RUCHU SPÓŁDZIELCZOŚCI PRODUKCYJNEJ

Z przemówienia Bolesława Bieruta na Krajowym Zjeździe Spółdzielczości Produkcyjnej

Co jest dziś najważniejszym zadaniem ruchu spółdzielczości produkcyjnej?

Po pierwsze, krzewić rzetelność w pracy codziennej, podnosić kwalifikacje, wiedzę agrotechniczną i oświatę ogólną, pogłębiać świadomość polityczną i dumę z osiągnięć spółdzielczych, troszczyć się o całość gospodarki, a w szczególności o rozwój hodowli i uprawę kultur technicznych.

Po wtóre, zdobywać umiejętność wspólnego gospodarowania, opartą na świadomej dyscyplinie i ścisłym przestrzeganiu statutu, na wyróżnianiu pilnych i ofiarnych w pracy członków spółdzielni i na ukrócaniu nierobów i wydrwigroszów, stosować jak najszerzej mechanizację rolnictwa i agrotechnikę, zacieśniać współpracę z POM-em.

Po trzecie, nie zasklepić się we własnym gronie, wciągać nowych członków do spółdzielni aż do objęcia wszystkich chłopów pracujących w gromadzie. Własnym przykładem i wynikami swej pracy, słowem i czynem oddziaływać na sąsiednie gromady, aby pozyskać je dla spółdzielczości produkcyjnej.

BRACIA CHŁOPI-SPÓŁDZIELCY!

Zdajcie sobie sprawę, że pracujecie nie tylko dla poprawy własnego losu i dla pięknej przyszłości Waszych dzieci, lecz gospodarując rzetelnie i umacniając spółdzielnię, dobrze zasłużycie się naszej ukochanej Ojczyźnie (huczne, długotrwałe oklaski).

Prawdę zdobytą w mozolnym trudzie i Wasze doświadczenie ponieście w masy chłopskie i nie szczydźcie sił, aby rosła w siły nasza Rzeczpospolita Ludowa, aby kroczyła w pierwszym szeregu narodów przodujących (huczne, długotrwałe oklaski).

Wiedźcie o tym, że rozwój spółdzielczości produkcyjnej — socjalistyczna przebudowa wsi — związana nierozdzielnie z potężnym uprzemysłowieniem naszego kraju, to rękojmia siły i rozkwitu naszej Ojczyzny.

Wspólnym wysiłkiem, w oparciu o serdeczną przyjaźń i braterstwo z bohaterskimi narodami Związku Radzieckiego oraz krajów demokracji ludowej, w oparciu o solidarność wszystkich ludzi dobrej woli pod przewodnictwem Wielkiego Chorażego Pokoju Józefa Stalina — stać będziemy na straży naszych wsi i miast, naszych ognisk rodzinnych i naszej ziemi ojczystej (długotrwała owacja. Wszyscy wstają. Padają okrzyki na cześć Generalissimusa Stalina).

Wspólnym wysiłkiem pokrzyżujemy nikczemne plany amerykańskich imperialistów i ich hitlerowskich pacholków, obronimy pokój, zabezpieczymy naszemu narodowi wspaniałą przyszłość (huczne, długotrwałe oklaski).

Zyczę Wam, Drodzy Przyjaciele, jak najpomyślniejszych wyników w dalszym rozwoju nowego życia na wsi polskiej! (Długotrwała owacja. Zebrani stojąc długo manifestują na cześć Bolesława Bieruta. Padają okrzyki „Niech żyje Bolesław Bierut!”).



Zebrani w Warszawie na I Krajowym Zjeździe Spółdzielczości Produkcyjnej de-

NICZOWIE NOWEJ WSI

Zdjęcia: W. PRAŻUCH

Dolnym Śląsku, że kulacy rozpowiadali tam, iż spółdzielcom odbierze się dzieci, a spółdzielnię otoczy drutem kolczastym. Kobiety, wystraszone, uciekały do miasta. „Okazało się — mówił Andrzej Parol — że dzieci są nasze, gromada nie jest od innych żadnym drutem oddzielona, a kobiety gospodarzą we własnym domu. Ludzie przekonali się i po rocznym rozliczeniu powstały koło nas trzy nowe spółdzielnie”.

Stanisław Pawlak i Ludwika Heniszowa dowiedzieli się od Łucji Grot, że w spółdzielni Rogów, w powiecie Końskie, czołowe stanowiska zajmują kobiety. Dowiedzieli się od Heleny Czubań, że spółdzielnia imienia Komuny Paryskiej w powiecie Szubin, że w tamtejszej gromadzie grasowała szajka wrogów, której członek wdarł się nawet do

kierami szli na spółdzielców, jak rzucali się pod traktory, jak spółdzielcy przecięli wrogą robotę, jak dochowali się pszenicy pięknej niczym perła, jak zdobyli sztandar przechodni i zrobili wszystko, by go z rąk nie wypuścić — i jaka szczęśliwa jest Rosołowska, że nie musi się więcej męczyć na jednohektarowym gospodarstwie i za konia trzy dni u kłaka odraabiać.

Stanisław Pawlak i Ludwika Heniszowa słuchali też, jak mówiono o rzeczach złych, takich, które trzeba zlikwidować i zmienić. W „Komunie Paryskiej” nie przestrzegano jak należy statutu. W Nosibadach przez długi czas kobiety nie wychodziły do pracy. W powiecie Trzebnica władze za mało interesują się trudnościami komunikacyjnymi spółdzielni Koniowo. Gdzie indziej znów spółdzielcy pozwolili na to, żeby traktorzyści z pobliskiego POM-u przez cztery dni chodzili głodni i spalili na stołach. W „Komunie” i w Nosibadach, w Koniowie i gdzie indziej ludzie stają się rozumniejsi, krytyczni, rozpoznają własne błędy i walczą z nimi.

Stanisław Pawlak i Ludwika Heniszowa widzą, słyszą i czują, że nie są sami. Oto tysiące, dziesiątki tysięcy takich jak oni mężczyzn i kobiet przeżywają te same co oni radości i troski. Tak jak oni pracują, walczą z wrogiem i zwyciężają. Oto jest ich armia cała — tych, co sprawiają, że żaden nowy tydzień na nowej wsi polskiej nie jest podobny do starego. Oto są siłą.

Zjazd ten uświadomił samym spółdzielcom, „pionierom idei, do której — według słów głównego referenta, wiceprezesa Rady Ministrów Nowaka — należy przyszłość wsi polskiej”, ich własną siłę i własne możliwości. Spółdzielnia produkcyjna — to już nie odgradzona od otoczenia komórka, to nie odizolowany, ginący w morzu nieufności, eksperyment nielicznych „szaleńców”. Spółdzielczość produkcyjna — to drogowskaz z każdym dniem jaśniejszy, z



Wiceprezes Rady Ministrów Z. Nowak udekorował przodowników spółdzielni odznaczeniami państwowymi.

każdym miesiącem wyraźniej wykazującą swą niezbitym rację. To idea ogarniająca wciąż szersze rzesze ludzkie i wdzierająca się co dzień niemal w rozum i serce tych, którzy wczoraj jeszcze nie wierzyli. Ież to razy, na tym Zjeździe słyszeliśmy słowa: „Kiedyś zakładaliśmy spółdzielnię, kiedyś zaczęliśmy parą koni, śmiali się z nas — a teraz...”.

Trudno zwrócić jasny dźwięk i treść niewytartą zdaniu: „Takiego zjazdu jeszcze nie było”. A jednak koniecznie trzeba powiedzieć: takiego zjazdu jeszcze nie było.

Nie zdarzyło się jeszcze, by z jakiejś trybuny z taką siłą biła duma chłopstwa polskiego. Nie zdarzyło się jeszcze, by kobieta z polskiej wsi — istota dręczona i poniżana przez wieki — z taką godnością i z takim przeświadczeniem swej racji głosiła wobec tysięcy zebranych delegatów potęgę socjalizmu.

*

„Stanisław Pawlak i Ludwika Heniszowa wrócą z Warszawy do swych domów. Do Śliwna i do Marszewa. Wrócą z bogatym, świeżym ładunkiem energii i woli, by swe własne spółdzielnie umacniać i rozwijać, a ruch spółdzielczy propagować i rozszerzać. Wrócą z niewzruszonym przekonaniem, że chłop polski, którym Polska Ludowa uświadomiła ich ludzką godność, nie będą już czekać przez wieki na zdobycie dla nowego życia całej wsi polskiej.



Na trybunie Stanisława Łukomska ze spółdzielni produkcyjnej pow. Szczecinek

spółdzielczego zarządu i że spółdzielcy szajkę tę rozgromili. Dowiedzieli się od Michała Rysińskiego, przewodniczącego spółdzielni w Milinie, co przeżył podczas pobytu w Związku Radzieckim. Dowiedzieli się od Stanisławy Łukomskiej ze spółdzielni Nosibady, że nikt tam nie wierzył, iż gromada otrzyma stałe kino — a właśnie otrzymuje. Dowiedzieli się od 64-letniej Józefy Rosołowskiej ze spółdzielni Świeciewo Duże, powiat Kraśnik, jak kulacy z sie-



legaci spółdzielni ze wszystkich województw w napięciu przysłuchiwali się obradom.



Delegacja młodzieżowa przybyła, by powitać Zjazd. Oklaskując ją gorąco-delegacja wykazała, iż rozumieją jak doniosłą rolę na wsi odegrać ma młodzież.

„O CO WALCZYMY?”

DZIESIĘĆ lat — to niezmiernie krótki okres w życiu narodu. Bywają jednak okresy krótkie, ale bogate w doniosłe wydarzenia, które zapoczątkowują nową dla narodu erę. Taki jest właśnie dla nas okres ostatnich lat dziesięciu.

Stulecia dzielą nas od walk Czarneckiego i Koski-Napierskiego. Dziesięciolecie upłynęło od marzeń Konopnickiej o otwartych wrotach szkół i Żeromskiego o szklanych domach. Jeśli dziesięć lat ostatnich przyniosło spełnienie wiekowych marzeń, jeśli w naszych miastach i wsiach dzieją się rzeczy, o których się wieszczom nie śniło — to sercem i ręką narodu musiała kierować niezwykła jakaś siła.

Tą siłą jest partia.

Dziesięć lat temu opublikowany został dokument: Deklaracja Polskiej Partii Robotniczej „O co walczymy?”. W okresie najstraszniejszego terroru hitlerowskiego, w czasie, gdy dymyły piece krematoryjne i na Szucha co noc rozlegały się jęki torturowanych, mroki okupacji — niby błysk nagły, ukazujący drogę — rozświeciły słowa deklaracji.

Nie było dotąd w naszych dziejach dokumentu, który by ważniejsze poruszał sprawy. Nie było takiego, który by jaśniej stawiał sprawę naszej przyszłości. Przyjrzyjmy się słowom deklaracji dziś, po dziesięciu latach jej realizowania.

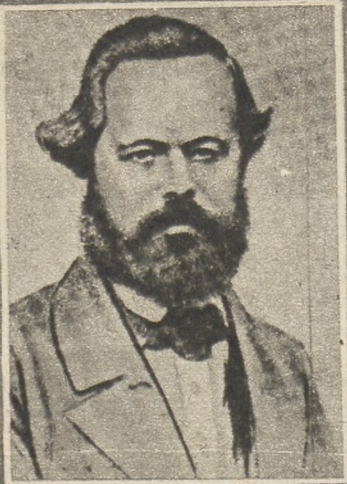
Mowa tam była o reformie rolnej i o unarodowieniu przemysłu i banków. Mowa była o włączeniu do Państwa Polskiego wszystkich ziem polskich. Mowa była o zapewnieniu wszystkim prawa do pracy. Czyż realizacja tych wytycznych nie stała się podstawą naszego dzisiejszego rozwoju?

Deklaracja mówiła o sojuszu ze Związkiem Radzieckim. Zapowiadała opracowanie planów odbudowy i rozbudowy gospodarki narodowej, podkreślała konieczność elektryfikacji i uprzemysłowienia, podniesienia na wyższy poziom rolnictwa. Zapowiadała prawo do nauki dla wszystkich. Czyż wypełnienie tych zapowiedzi nie stało się źródłem naszych dzisiejszych sukcesów?

Warto dziś przypomnieć, w jakich warunkach kierownicy partii opracowywali tę deklarację. Trudno im było o papier, na którym by mogli ją wydrukować. Z narażeniem życia przenosili w kieszeniach czcionki, którymi składali jej tekst. Problemem był wtedy nocleg dla ukrywającego się działacza, czy szklanka mleka dla chorego towarzysza...

A przecież ludzie ci reprezentowali siłę zdolną nie tylko do wytyczenia drogi, ale i do systematycznej realizacji tych wytycznych, do kierowania walką narodu o jego jutro. Podstawą tej siły były i są nieśmiertelne idee marksizmu-leninizmu, pozwalające widzieć prawdę nawet w najgłębszym mroku. Podstawą tej siły był i jest nierozdzielny związek z klasą robotniczą i wszystkimi żywotnymi siłami narodu. Podstawą tej siły było i jest oparcie się o Związek Radziecki, kraj, gdzie „szturmowa brygada” ceną największych ofiar i wyrzeczeń przetarła ludzkości drogę do szczęścia.

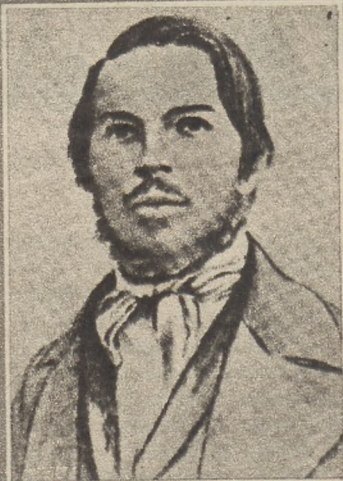
Deklaracja Polskiej Partii Robotniczej z 1 marca 1943 roku zapowiadała rewolucyjne zmiany, zmierzające do tego, „by raz na zawsze położyć kres źródłom... wyzysku człowieka przez człowieka, by rozpocząć nową erę w życiu narodu: erę wolności i dobrobytu”.



KAROL MARKS
portret z r. 1848.

WYDANIE DWUDZIESTE NAKLAD TRZECI

ARTUR MIEDZYRZECKI



FRYDERYK ENGELS
portret z r. 1848.

W DOMU SŁOWA POLSKIEGO matowy polysk dobrze utrzymanych maszyn i srebrny polysk szkła. Idziemy przez jasne hale, a później przez zwieszającą się nad nimi oszkloną galerię. Nie przyszliśmy tu po wspomnienia, ale nie jest łatwo nie pomyśleć i nie napisać, że tutaj właśnie, w oszklonej galerii, były kiedyś radiowe kabiny: radiowi reporterzy informowali stąd w językach wielu narodów o obradach II Światowego Kongresu Obróńców Pokoju. Była to jednocześnie inauguracja drukarni książek Domu Słowa Polskiego, najgodniejsza jaka być może. Po dwóch latach publikacje i druki, które wyszły z nowoczesnych maszyn Domu Słowa, dosięgły cyfr zawrotnych. Kiedyś czekali na przewodnika w sekretariacie dyrekcji, dziewczyna w granatowym fartusku wpisywała do zeszytu książki wydrukowane w ostatnich dniach: zajmowały całe biurko, leżały na krzesłach, a i to jeszcze nie było wszystko.

Przyszliśmy tutaj w sprawie konkretnej. 27 lutego mija 105 rocznica ogłoszenia „Manifestu Komunistycznego”. W połowie miesiąca Dom Słowa zakończył druk nowych pięćdziesięciu tysięcy egzemplarzy i łączny nakład „Manifestu” w Polsce Ludowej osiągnął cyfrę 512.000. Egzemplarze z lutego opatrzone są napisami: „Książka i Wiedza”, Warszawa 1953; Wydanie dwudzieste; Nakład trzeci”.

O tym wydaniu i nakładzie dowiedzieliśmy się prawie wszystkiego. Poznaliśmy kolejność prac, poznaliśmy ludzi, którzy je wykonali.

Przy trzecim, licząc od wejścia, linotypie, po prawej stronie, pracuje Stefan Wojtczak, który składał nowy nakład. W pracowni zecerńskiej, tuż przy Brygadzie Młodzieżowej, nad wielkim stołem pochyla się stary warszawski drukarz, Stefan Piętoski, który łamał tekst. Kalandrował i sporządzał odlewy Witold Sobolewski — na zmianę ze Stefanem Pydysiem.

Na kapitańskim mostku maszyn rotacyjnej stanął później przodownik pracy — Józef Paluszek, a kiedy kończyła się zmiana, zastępował go Józef Padzik. W tym samym czasie, na maszynie płaskiej odbijano okładki. Drukował je — znowu na zmianę — Henryk Dorant i Stanisław Kucharczyk, a odbierały z maszyny pomocnice Irena Dreksler i Zofia Dworakowska. Później — w introligatorni — poznaliśmy brygadę Heleny Grodzkiej i zespół Janiny Nowackiej, który — jak to mówią fachowcy — zaciągał okładkę. Poznaliśmy również przodownicę pracy Domu Słowa Polskiego, młodszą i wesołą Danutę Różańską, oraz kierownika introligatorni, Mieczysława Fidlera. Fidler był przed wojną pracownikiem poligraficznym w Łodzi, członkiem Komunistycznej Partii Polski. Kiedy z racji swego zajęcia jako

...Nowy nakład „Manifestu” gotowy! Nad książką — przodownica pracy Domu Słowa Polskiego — Danuta Różańska, i kierownik introligatorni — Mieczysław Fidler.



jeden z pierwszych ogląda gotową już książkę i patrzy na czerwone litery na okładce „Manifestu” — wspomina, być może, łódzki rok 1936. Komórka Fidlera otrzymała wtedy odbity na powielaczu egzemplarz „Manifestu”. Przyszedł podobno gdzieś z Zagłębia.

— Dzielił się nim tak, że każdy brał dwie strony, a później wymieniał z jednym z ośmiu towarzyszy. Litery były niewyraźne, poprawialiśmy je ołówkiem, żeby stały się czytelniejsze.

Któregoś dnia u Fidlera była rewizja. Tamtych dwóch kartek nie znaleźli.

— Nie znaleźli, a one były złożone w szesnastkę i leżały pod nogą łóżka. Wszędzie szukali, a tam nie zajęli.

Tak właśnie dopada nas w pięknej hali Domu Słowa historia polskich wydań „Manifestu Komunistycznego” Karola Marksa i Fryderyka Engelsa. Nie jest to tylko historia egzemplarzy drukowanych. Należą do niej również teksty „Manifestu” powielane albo przepisywane, często nieprzywykłą do pisania, robociarską ręką. Przez dziesiątki lat noszono te teksty w zanadrzu, na sercu. Dzieleno się nimi jak skarbem i pieczołowicie przechowywano. Podawano je ludziom pewnym, wypróbowanym, niezawodnym. Ale słyszeli o Manifestie wszyscy. Ta książka zapowiadała kres przemocy i nieślawny koniec ciemności. Uczyli się z niej robotnicy Piotrogradu, Manchesteru i Łodzi. Drżały przed nią burżuazyjne gabinety i tropili ją żandarmi. Ale, wbrew nim, ludzie pracy podjęli na całym świecie dumne hasło „Manifestu”.

„Proletariusze wszystkich krajów, łączcie się!”

Jednym z członków założonego przez Marksa i Engelsa Związku Komunistów był robotnik Fryderyk Lessner. W jego pamiętnikach znajdujemy ciekawą wiadomość o pierwszym druku „Manifestu Komunistycznego”.

„Byłem jeszcze zupełnie młody — wspomina Lessner — kiedy w połowie lat czterdziestych po raz pierwszy dowiedziałem się o Karolu Marksie ze szpalet „Deutsche Brüsseler Zeitung” („Niemiecka Gazeta Brukselska”). Z jego nauką zapoznałem się dokładniej... przy drukowaniu i przyjęciu epokowego Manifestu Komunistycznego... Kiedy w początkach 1848 r. rękopis Manifestu przybył do Londynu, mogłem i ja przyczynić się w skromnej mierze do publikacji tego epokowego dokumentu: zamówiłem mianowicie rękopis do drukarza, a następnie odbitki do głównego założyciela Komunistycznego Związku Oświaty Robotniczej — Karola Schappera, który spełniał rolę korektora...”

Pierwsze wydanie polskie ukazało się prawdopodobnie w latach pięćdziesiątych. Karol Marks wspomina o nim w przedmowach z roku 1882 i 1872: „Manifest” opublikowano po polsku w Londynie — „wkrótce po pierwszym wydaniu niemieckim”.

Z okresu tego pozostała również wiadomość o stanowisku, jakie zajął wobec „Manifestu” Joachim Lelewel i zgrupowani wokół Lelewela polscy demokraci. W liście przesłanym w roku 1880 do Genewy, na zgrupowanie zwołane w 50 rocznicę powstania listopadowego, Marks i Engels pisali:

„W roku 1847 zebrał się potajemnie w Londynie pierwszy międzynarodowy kongres proletariatu, który to kongres ogłosił Manifest Komunistyczny kończący się hasłem: „Proletariusze wszystkich krajów, łączcie się!” Na kongresie miała swoich przedstawicieli również i Polska, a na zgromadzeniu publicznym w Brukseli zgłosił akces do rezolucji słynny Lelewel oraz jego zwolennicy.”

„Tak więc... Polacy odegrali wybitną rolę w walce o wyzwolenie proletariatu — byli tej walki czołowymi międzynarodowymi bojownikami.”

„Dziś, gdy walka ta rozrasta się wewnątrz samego narodu polskiego, niech poprze ją propaganda rewolucyjna, prasa rewolucyjna, niech zjednoczy się z dążeniami naszych braci rosyjskich. Będzie to jeszcze jednym powodem do powtórzenia starego okrzyku: „Niech żyje Polska!”

Wśród działaczy, którzy podjęli ten okrzyk na genewskiej sali, znajdował się Ludwik Waryński. Przemawiał tego samego wieczora. Mówił o wspólnej walce ludów Rosji i Polski przeciw caratowi, podkreślał, że obowiązkiem polskiego ruchu robotniczego jest podjąć „solidarną z towarzyszami rosyjskimi walkę”.

W dwa lata później, 1 września 1882, w nielegalnej warszawskiej drukarni wydana została odezwa, stano-

*) „O Karolu Marksie”, zbiór wspomnień i artykułów, „Książka i Wiedza”, Warszawa 1960.

**) Zgromadzenie brukselskie zwołane było w dniu 23 lutego 1848, w drugą rocznicę wydarzeń krakowskich 1846 roku. Relacje o wiece przynosi m. in. „Demokrata Polski” z dn. 28 lutego 1848.

wiać program partii Ludwika Waryńskiego, Socjalno-rewolucyjnej Partii „Proletariat”. 6 rozdziałów programu było zwiększonym streszczeniem podstawowych idei „Manifestu Komunistycznego”.

Sam „Manifest” ukazał się w Genewie, w kwietniu roku 1883, i jest to pierwsza zachowana edycja polska. Na okładce i stronie tytułowej czytamy:

„K. Marks i Fr. Engels — Manifest Komunistyczny 1847 (zasady nowożytnego socjalizmu) — przełożył Witold Piekarski — Nakładem Komitetu Robotniczego partii soc.-rew. Proletariat. — W drukarni Przedświtu w Genewie”.

W przedmowie tłumacz skłamał hołd świetlanej pamięci Karola Marksa, który zmarł przed miesiącem, 14 marca 1883. „Manifest Komunistyczny”... w przekładzie polskim — pisał dalej — powinien ruchowi naszemu nie tylko agitacyjne usługi oddać, ale i do jego teoretycznego wyklarowania się poważnie przyczynić... Całość drukowana niewielką, wyraźną czcionką. Na ostatniej zaś stronie, ogłoszenia wydawnictwa, które są do nabycia w administracji „Przedświtu” w Genewie (Suisse, Genève, Rue Berger 5, imprimerie de l'Aurore). Jest wśród nich „Odezwa partii soc.-rew. Proletariat” (Warszawa 1882), jest Fryderyka Engelsa „Socjalizm utopijny a naukowy” (Genewa 1882), jest również (wznawiona niedawno przez „Książkę i Wiedzę”) praca J. Młota „Kto z czego żyje”, z adnotacją „Genewa 1881, cena 1 fr.”.

Taki był „Manifest Komunistyczny” bojowników Wielkiego Proletariatu, „Manifest” Ludwika Waryńskiego, Mieczysława Mańkowskiego i Michała Ossowskiego, „Manifest” znany zapewne niejednemu z bezrobotnych Warszawy, którzy demonstrowali na Placu Zamkowym w marcu roku 1885.

Mała, starannie opracowana książeczka, „tom pierwszy biblioteki polityczno-społecznej”. Tłoczono ją w Londynie w roku 1892. Na pierwszych stronach portrety Marksa i Engelsa, z własnym tekstem i fantazyjnymi inicjałami. Trzeci polski przekład „Manifestu Komunistycznego”. Ukazał się w okresie, gdy robotnicy Warszawy i Zagłębia mieli z sobą pierwsze obchody majowe, a potężny strajk łódzki 1892 roku rozpoczął nowy okres w historii polskiego ruchu robotniczego.

Przedmowę do wydania 1892 napisał Fryderyk Engels. Znajdziemy ją odtąd w każdym kolejnym wznowieniu „Manifestu” z podpisem: F. Engels, Londyn, 10 lutego 1892 r.:

„Fakt, że nowe wydanie polskie Manifestu Komunistycznego stało się potrzebne, nasuwa różne myśli.

„Przed wszystkim należy zaznaczyć, że Manifest w ostatnich czasach stał się do pewnego stopnia sprawdzianem rozwoju wielkiego przemysłu na kontynencie europejskim. W miarę tego, jak w danym kraju wzrasta wielki przemysł — wśród robotników tego kraju wzrasta się pragnienie wyjaśnienia sobie swego stanowiska jako klasy robotniczej w stosunku do klas posiadających, szerzy się wśród nich ruch socjalistyczny i rośnie popyt na Manifest. Tak, że nie tylko stan ruchu robotniczego, ale i stopień rozwoju wielkiego przemysłu w każdym kraju określić się daje z dostateczną ścisłością na podstawie liczby egzemplarzy Manifestu, rozpowszechnionych w języku danego kraju.

„W ten sposób i nowe polskie wydanie Manifestu wskazuje na stanowiący postęp przemysłu polskiego. A że postęp ten odbiwał się rzeczywistością w ciągu dziesięcioleci, które upłynęło od ostatniego wydania, to żadnej wątpliwości nie ulega. Królestwo polskie, Kongresówka, stało się wielkim okresem przemysłowym imperium rosyjskiego...”

Ilustrację tych słów stanowiły dymy fabryczne nad Zagłębiem, Łodzią i Warszawą. W marcu 1894 roku odbył się w Warszawie pierwszy konspiracyjny zjazd rewolucyjnej partii robotniczej. Była to Socjal-Demokracja Królestwa Polskiego — kontynuatorka „Proletariatu”, partia Róży Luksemburg i Juliana Marchlewskiego. Nowe polskie wydanie „Manifestu Komunistycznego” było potrzebne. Krążyło po Żyrardowie, Białymstoku i Dąbrowie Górniczej. Kształtowało świadomość wielu ludzi walczących o społeczną sprawiedliwość i narodowe wyzwolenie.

Być może, że to właśnie wydanie przeczytał po raz pierwszy młody Feliks Dzierżyński.

1903, 1905, 1907, 1908 — to lata, w których ukazywały się kolejne polskie wydania „Manifestu”. Uderza zbieżność fali nowych publikacji i fali ruchu rewolucyjnego, zbieżność znamienita i uzasadniona: chodzi przecież o bojowy proletariacki manifest, który Stalin nazwał „pieśnią nad pieśniami marksizmu”; o druk towarzyszący milionom ludzi w ich pracy i walce.

Na winiecie okładki z roku 1903, znajdujemy motyw rozświetlającej mrok latarni i motyw fabrycznych dymów nad miastem. „Manifest” ukazał się w Krakowie, w maju. Drukowano go w tym samym okresie, w którym z nielegalnej drukarni SDKPiL wychodziła przepojona duchem internacjonalizmu 1-majowa odezwa:

„Robotnicy i robotnicy polscy! W swojej walce o lepszą przyszłość nie jesteście sami. W całym państwie cara, od granic Polski do Sybiru, od Newy do Kaukazu — wszędzie burzy się lud roboczy...”

1 Maja 1903 — kończył „Czerwony Sztandar” sprawozdanie z demonstracji w Warszawie — był to „po-nury dzień dla caratu, wspaniały dzień dla bliskiego triumfu wolności politycznej i socjalizmu”.

W strajkach, demonstracjach i starciach z policją nadchodził rok 1905. Walczyli robotnicy, występowali do walki chłopci. Łódzkie dni czerwcowe 1905 zbiegły się z powstaniem na pancerniku „Potiomkin”. W październiku strajkowały Moskwa i Petersburg, strajkowali drukarze, kolejarze i ucząca się młodzież. W owych miesiącach w Warszawie znowu ukazuje się „Manifest”.

Jest to tym razem legalne wydawnictwo „Biblioteki Naukowej” przy ul. Nowy Świat 37. Drukowane było również na Nowym Świecie, w drukarni Piotra Laskauera, w domu pod numerem 41. Przejrzysty wydawca zaopatrzył je wstępem, w którym czytamy:

„Ponieważ „Manifest Komunistyczny” jest klasycznym utworem socjalizmu, więc uważamy za obowiązek oddać go bez żadnych zmian w ręce inteligentnej publiczności, pragnącej walczyć z tym niebezpieczeństwem dla dzisiejszego „porządku” w sposób poważny i umiejętny...”

Zmiany zostały jednak wprowadzone. Nie było w tej edycji ani wstępu o „widmie krążącym po Europie”, ani kończącego Manifest hasła: „Proletariusze wszystkich krajów, łączcie się!”

Wypowiedziały je za to z mocą walczące ludy Rosji i Polski. 14 listopada 1905 roku na zebraniu Rady Delegatów Robotniczych Piotrogradu przybył przedstawiciel polskich robotników.

„Żądania Polaków — mówił — są również żądaniami ludu rosyjskiego, pragną oni kroczyć z nim razem, ramię przy ramieniu w obronie tych żądań...”

Takie było, wbrew prawicowo-pepesowskiej dywersji i srożącemu się policyjnemu terrorowi, stanowisko polskiej klasy robotniczej. Wtedy, gdy w grudniu powstał przeciw caratowi lud Moskwy, i później, w okresie powolnego odrotu rewolucji, odrotu znaczonego bojami lat 1906 i 1907.

W roku 1908 „Manifest” dla uniknięcia konfiskaty, ukazuje się jako przedruk interpelacji poselskiej w parlamencie austriackim — jest to powtórzony precedens z roku 1903.

W roku 1907 wydała „Manifest” Biblioteka Ludowa: 29 pośliskich już stron, na końcu tekstu małeńka jaskółka w locie, różowa okładka. Na okładce, wizerunek czytającego na poddaszu robotnika. Pochyla się, czyta pilnie. Poznaje „Manifest Komunistyczny” Karola Marksa i Fryderyka Engelsa. Poznaje dzieła Lenina. Rewolucja cofa się w sposób zorganizowany. W sposób zorganizowany, pod kierownictwem partii bolszewickiej, rozpoczyna również wielkie natarcie w roku 1917. W Piotrogradzie ukazuje się wówczas nowe wydawnictwo Klubu Robotniczego „Promień”: ósma polska edycja „Manifestu Komunistycznego”. Edycja dziewiąta ukazuje się w roku 1919, jako wydawnictwo Sekcji Polskiej Komunistycznej Partii Niemiec. Edycja dziesiąta — w roku 1920, dwie następne w latach 1933 i 1939, w Moskwie.

Wyzwolone narody Związku Radzieckiego budowały wówczas stalinowskie plany pięcioletnie, wznosiły domy Komsomolska i wielkie magnitogorskie piece.

W Polsce ogień tych pieców zajaśniał w pięknym wierszu Broniewskiego*). Wyrażał on uczucia wszystkich, którzy dalej walczyli przeciw przemocy i ciemnościom teraz rodzimym i tym bardziej nienawistnym. Sanacyjne gabinety gnały na złamanie karku do wrześniowej katastrofy. Działacze robotniczy zapelniali więzienia i areszty. Manifest narodowego i społecznego wyzwolenia z roku 1848 był nadal drukiem prześladowanym. Troskliwie przekazywany z rąk do rąk, zmusznie przepisywany, czytany z zapartym tchem — stanowił jednak nadal świętą księgę robotniczych przedmiec. Które z nich nie znało zawołania „Manifestu”? Obiegło przecież to hasło świat cały. Zostało w sercach i zostało w świadomości.

Szczesny — bohater świetnej powieści Neverlego „Pamiętka z Celulozy” — dostał na gwiazdkę „Manifest Komunistyczny”. Rzecz dzieje się we Włocławku, w roku 1932. Ofiarodawca, Rychlik, mówi Szczesnemu:

„Święta idą, będziecie mieli czas, przeczytajcie. Po czym na wszelki wypadek dodaj:

— Książka dozwolona, każdy może kupić w sklepie, ale dla komunisty nie jest dozwolona. Jeżeli zaczynasz szukać dowodu, co robisz, znajdziesz „Manifest”, wtedy będzie dowód.

Szczesny przeczytał raz i drugi. Początek brzmiał zupełnie, jak wiersz:

„Widmo krąży po Europie — widmo komunizmu.

Wszystkie potęgi starej Europy zjednoczyły się w świętej nagonce przeciw temu widmu...”

Dalej nie poszło tak gładko. Odpowiadało się tu komuś z zeszłego wieku. Były sprawy niezbrane, słowa trudne, choć sens, jeśli dobrze uważać, wyłaniał się prosty: na tym, jak są ludzie w pracy ustawieni, na tych stosunkach wszystko się trzyma — kultura, polityka i władza. Zmieniają się klasy przy władzy i koniec jest jasny: niech drżą klasy posiadające przed rewolucją komunistyczną!

Powypisywał na kartkach rzeczy do wyjaśnienia...”

Przypomniałem sobie ten urywek po rozmowie z Mieczysławem Fidle-rem.

Jaki egzemplarz „Manifestu” mógł czytać Szczesny? Może ten z roku 1920, a może dużo wcześniejszy, ten na przykład z roku 1907, różowy, z jaskółką i czytającym robotnikiem? A może był to egzemplarz powielany, taki jaki czytali towarzysze Fidler i w Łodzi?

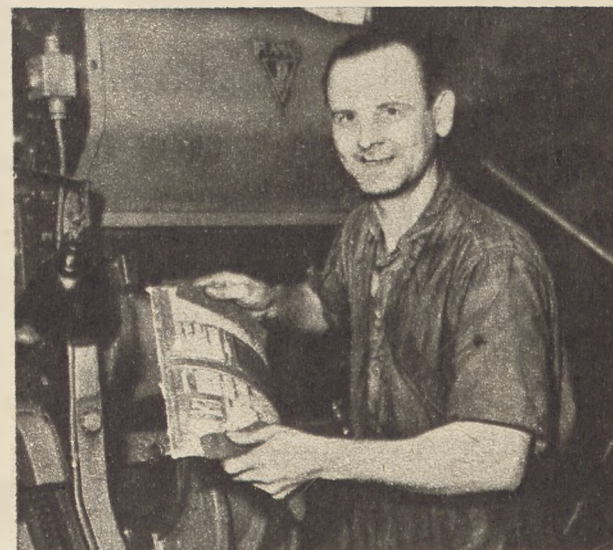
Myślę o tym przez chwilę, opuszczając Dom Słowa Polskiego. Kolejne 50.000 egzemplarzy „Manifestu Komunistycznego” znajduje się wkrótce na półkach księgarskich. Jest to trzeci nakład szóstego w Polsce Ludowej wznowienia „Manifestu”. W kolejności historycznej — nakład trzeci wydania polskiego dwudziestego. Kiedy numer „Świata” znajdzie się w rękach Czytelników, drukarnia Domu Słowa przystąpi do edycji dwudziestej pierwszej. Liczba egzemplarzy „Manifestu” wydanych u nas po wojnie wyniesie wówczas 562.000.

Takie są dane cyfrowe, którymi witamy sto piątą rocznicę „Manifestu Komunistycznego”. Również one stanowią dokument naszych dni: wystarczy pomyśleć o historii dwudziestu polskich wydań „Manifestu”, żeby lepiej zrozumieć wielki sens codziennej ofiarnej pracy milionów obywateli naszego kraju.

*) Wł. Broniewski „Magnitogorsk albo rozmowa z Janem”.



Nowy nakład „Manifestu” składał Stefan Wojtczak...



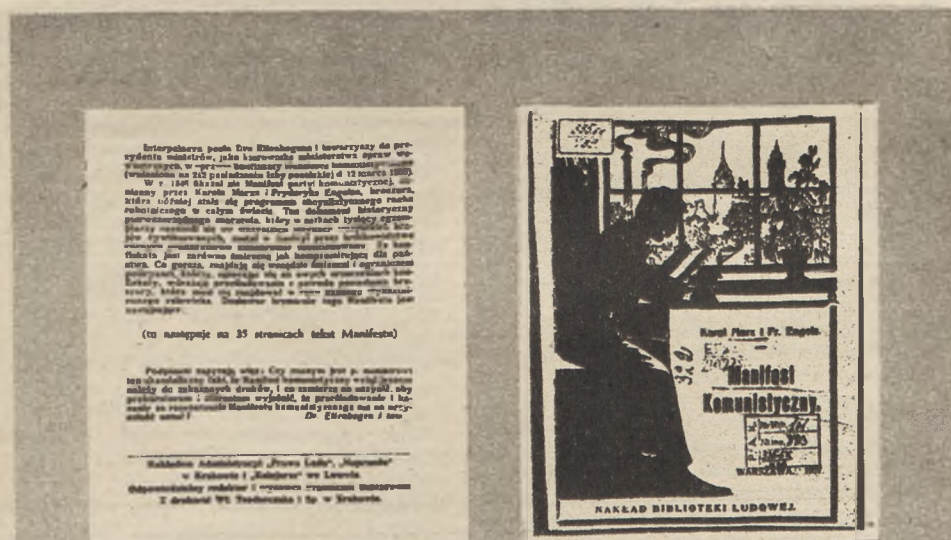
„Lamał tekst i przygotował odlew” Stefan Piętowski...



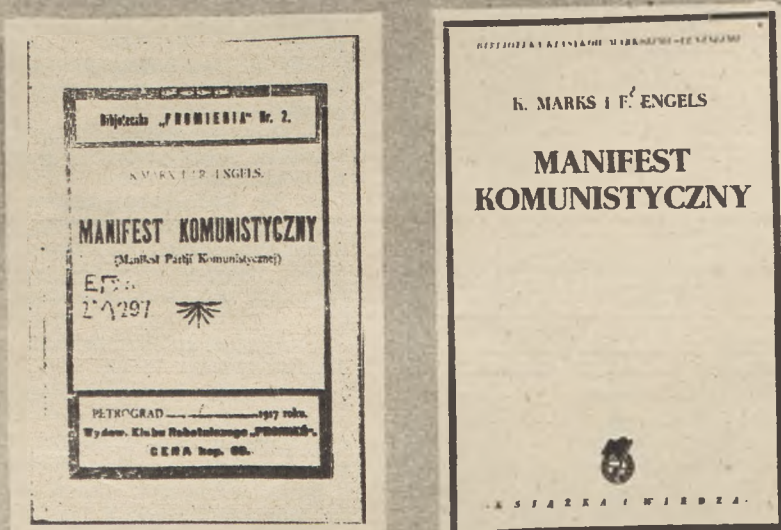
„Drukował zespół pod kierownictwem Józefa Paluszka, którego widzimy na mostku maszyny rotacyjnej...”



„Zbierały arkusze, zszywały i zaciągaly okładkę ze spoty troligatorki, między nimi brygada H. Grodzkiej.”



U góry na lewo: wstępna i końcowa strona polskiego Manifestu z 1903 i 1908 r., które w celu uniknięcia konfiskaty ukazywały się jako przedruki interpelacji poselskiej. Na prawo: okładka wydania polskiego z 1907 r.



U góry na lewo: okładka wydania polskiego 1917 r. Na prawo: okładka trzeciego nakładu wydania dwudziestego, którego druk ukończono w lutym br.



REPORTAŻE Z FRANCJI (1)

DZIEŃ POWSZEDNI MONIKI

ZBIGNIEW STOLAREK

KIEDY rano jest jeszcze tak wcześnie, że trzeba by mieć latarnie zamiast oczu, aby dojrzeć chociażby zarys hałd kopalnianych (mimo że za dnia widoczne są one z każdego kąta), już w tym czasie grupki kobiet zbierają się na drogach prowadzących przez zagłębie węglowe północnej Francji. Jadą stąd po pracę i zarobek do pobliskiego okręgu włókienniczego — na Lille, Roubaix, Tourcoing. Można je tam spotkać zarówno przy obróbce wełny, bawełny, jak i lnu.

Jeżeli bywa jednak, że nie ma ich w takich zakładach przemysłowych, jak u Beaumonta czy Polleta, wówczas istnieją po temu specjalne powody.

W fabrykach tych zlikwidowano po prostu autobusy, którymi robotnice mogły dojeżdżać do pracy. Było to umiejętnie rozwiązanie sprawy, bo jednocześnie stało się zbędne dawanie wy mówień, i rozprawianie o bezrobociu.

Mimo to, ogólny obraz nie zmienił się jednak wiele: już skoro świt autobusy fabryczne zaczynają przejeżdżać przez górnicze kolonie, aby zabrać swoje stałe pasażerki w kilkudziesięciokilometrową drogę, do różnych miejsc pracy.

Miedzy innymi jedzie się również do miejscowości Lomme, do przedziałni lnu. Droga prowadzi albo od strony Bruay, albo od strony Lievin, przez Lens, Sal-laumes, Noyelles, Loison, Annecy, Carvin, Lille...

Tamte dy właśnie jeździ Monika Tur-no.

Autobus jest zapchany po brzegi. 85 osób na 45 miejsc siedzących. Na dłuższej trasie, kiedy jeździ się dwa razy dziennie, porządnie daje się to we znaki. I duszno. Od tej dusznoty i od chęci snu oczy zachodzą mgłą jak szyby parą. Jest więc niewiele chęci na rozmowy, ale od czasu do czasu staje się głośno, że aż szumi w uszach. Niekiedy pójdzie o to, by dać należyta odprawę kierowcy, jeżeli już zacznie za bardzo

dręczyć. Bo szoferów dobiera dyrekcja starannie, tak żeby równie dobrze umieli szoferować, jak i ujadać w fabrykanckim imieniu.

Bywa jednak także, że języki idą w ruch o rzecz całkiem bagatelną, o to na przykład, czy opuścić szybę okienną, czy nie. Gdy jedna i trzecia szyba zjedzie wreszcie w dół, jednocześnie szerzej otwierają się zaspane oczy i wtedy już słychać, na przemian, dwa chóry:

- La fenetre! Zamknąć okno!
- Ta geule! Zamknij gębę!
- Wieje!
- Duszno!

O byle co może dojść do takiego podenerwowania, jeżeli człowiek zmęczony, niewypoczęty, ciągle jak w kieracie — drażni go wtedy wszelka rzecz, na którą kiedy indziej nie zwróciliby nawet uwagi.

Autobus toczy się dalej, staje, znów rusza... I wreszcie: — fabryka w Lomme. Mieszkają się ze sobą robotnice przyjezdne z miejscowymi, bo samo Lomme liczy przecież ponad osiemnaście tysięcy mieszkańców.

Znikają za drzwiami prowadzącymi do poszczególnych sal fabrycznych.

W sali, w której pracuje Monika, znajduje się trzydzieści maszyn, dwustronnych, ze stu dwudziestu bobinami, czyli szpulami, po każdej stronie. Na każdą maszynę przypada jedna „fileuse” — prządka i jedna „varouleuse” — pomocnica prządki.

Zaduch nadgniętego lnu wypełnia salę. I wilgotne gorąco. Więc przy robocie zrzuca się z siebie prawie wszystko. Zostaje się w samej koszuli. Z mokrych paździerz lnu — brudu tu co nie miara — aż pryska. Kto ma fartuch gumowy pracuje w fartuchu, ale takie robotnice można policzyć na palcach, bo trudno na czym innym oszczędzić, aby kupić sobie fartuch do roboty.

Już po krótkiej chwili cienka koszula lepi się do ciała. Nogi wyglądają, jakby się robiło w gnoju. Pluszczą stopy po

posadzkowej pochyłości. Ścieka po niej woda, wychlustywana często, aby w miarę możliwości utrzymać czystość pod maszynami. Jednocześnie wciąż posypuje się posadzkę sodą. Uwijają się boscie nogi, młasczą w tej rozmiętej sodzie, wżerającej się w żywe ciało.

Tutejsze robotnice wiedzą dobrze, co oznacza słowo egzema.

Pewnie, można by pracować w chodakach. Lecz chodaki to nie tylko jeszcze jeden osobny wydatek, ale co najmniej utrudnienie w pracy. Szczególnie, gdy się jest pomocnicą. Bez ustanku trzeba się przecież spieszyć ze zmienianiem szpul, których jest dwieście czterdzieści po obu stronach warsztatu, a warsztat ma około dwóch metrów wysokości, a cięższe szpule ważą po pięć kilogramów. Wciąż trzeba być w ruchu. W chodakach nie łatwo utrzymać równowagę na mokrej posadzce. Jak nic można się pośliznąć, wyrzucić o jakiś kant, albo też — co nie daj Boże — ulec jeszcze gorszemu wypadkowi, bo maszyna nie uważa na człowieka, nie uważa na niego transmisja, przed którą nie jest całkiem zabezpieczony. Dlatego też lepiej dla zdrowia, żeby na bosaka, chociaż soda żre ciało, przede wszystkim między palcami stóp.

Poprzez pośpieszny stukot maszyn wyraźnie słychać nadzorców, gwizdaniem zwolujących pomocnicę do zde-montowania tego czy innego warsztatu.

Gwizdki, zawieszane na szyjach nadzorców, mogą służyć także do innego celu. Nic łatwiejszego, niż zdjąć taki gwizdek i przeciągnąć kilka razy jego sznurkiem po karku tej z pomocnic, która wydała się nadzorczy nie dość szybka w robocie. Zresztą, gdyby nie było sznurków przy gwizdkach, nie spowodowałoby to dużej zmiany. Mają nadzorczy na nogach chodaki, które niekoniecznie muszą być używane tylko do chodzenia — do rozdzielania kopniaków nadają się również.

Jeżeli przez salę przechodzi Louis —

znaczy syn właściciela — i dojrzy, że na warsztacie nic zerwana, albo że ktoś wyszedł za swoją potrzebą, wtedy ma się wrażenie, jakby bombę zegarową wniesiono do fabryki, bo kiedy Louis wybucha, to lży od ostatnich, na całe gardło. Podobnych sobie dobrał też nadzorców. Nie od razu takich znalazł, ale znalazł. Za lepszy zarobek poszli na urząd psów fabrycznych i w gorliwości nie dają się prześcignąć synalkowi właściciela. Tyle tylko od nich wytchnienia, ile przerwy obiadowej.

Prządki i pomocnice wyciągają, co przyniosły ze sobą: kilka kromek chleba ze smalcem lub margaryną, bo na masło nie zawsze starczy, menażkę z zupą albo z salata, albo z kartoflami. Powoli ruszają się szczęki, jakby z musu się jadło, bez apetytu, bez ochoty. Chleb — przeżarty wysoką temperaturą, jaka panuje w sali — ledwo przechodzi przez gardło.

Smród warsztatowy lezie wraz z jedzeniem do żołądka, jakby właśnie teraz znalazł dogodniejszy wchód niż zazwyczaj. Bo zapachy tu takie, że jeżeli któraś dziewczyna zemdleje podczas roboty — a mdleje się często, szczególnie latem — wtedy nieraz wynosi się ją najpierw do ustępów, aby przysła do siebie, bo tam powietrze bardziej świeże.

Jedyny wentylator, który znajduje się w końcu sali, jest zazwyczaj nieczynny. Dobrze jeszcze, jeżeli majster puści go w ruch pod koniec roboty, ale czyni to rzadko, bo przewiew i zmiana temperatury źle podobno wpływają na jakość nitki.

Monika powoli podnosi łyżkę z zupą do ust. Nawet się nie uśmiechnie, chociaż dookoła głośno od kobiecego pisku i śmiechu.

To z miny nowej pomocnicy ta nagła wesołość. Miedzy kromkami swojego chleba znalazła karalucha i oburza się, że jej ktoś taki głupi dowcip urządził. Nowa, pierwszy dzień tutaj, jeszcze niezwykła. Skoro biegają karaluchy po murach, to dlaczego nie miałyby się dostać także do jedzenia. Codzienna historia: — fabryczne mięso bez kości.

Śmiech — w którym więcej chyba nerwowości niż prawdziwej uciechy — wciąż jeszcze trwa na sali. Ale Monice bliżej do placu, jak do śmiechu.

Wszystko przez to, że nie przysła wczoraj do roboty. Niedawno lekarz dał jej zwolnienie na trzy dni, bo źle z nią: ciśnienie — powiedział — strasznie małe. Zapiisał jej jakieś pigułki na apetyt, jakies lekarstwo, które nazywa się Hepatrol. Trzy dni minęły, ale Monika nie poczuła się przez to lepiej, chociaż nadal łyka pigułki i popija lekarstwo.

Przedwczoraj matka spojrziała na nią przełkniętymi nagle oczyma. Tak samo jak trzy lata temu, kiedy Monika dopiero kilka miesięcy przepracowała w Lomme, a jej twarz już stawała się z dnia na dzień bardziej żółta, chociaż w szesnastym roku życia nie było czego trzeba, żeby z policzków zniknęły rumieńce. Wtedy popatrzyła matka i powiedziała, że taka robota może się skończyć wyprowadzeniem córki na Gross-Berlin. Tak tutaj ludzie nazywają pobliski cmentarz. I właśnie, kiedy wyrzekła „Gross-Berlin”, najpierw jakby zdziwiła się swojej myśli, a już w chwili później słowa poniosły ją tak, że ani ich zatrzymać:

— Masz jutro odebrać papiery — zawołała — a jakby nie chcieli dać, sama pójde i tę cholerną fabrykę rozwiąle, żeby już na nich darmo robić nie trzeba, na samo jedzenie nie zarobisz, krwio-pijce!

Gdy Monika poszła na drugi dzień do biura fabrycznego, zapytano ją, dlaczego chce odejść.

— Mamusia kazala, bo za mało zarabiam. Bo tatuś na rencie górniczej i na życie nie starczy.

— Jak będziesz starsza, więcej zarobisz. Jeszcześ młoda. — Wtedy Monika popatrzyła oczyma, w których owa młodość, o jakiej mówił pan urzędnik z biura, miała spojrzenie dojrzałego człowieka.

— Ale jeśli trzeba tak samo — powiedziała.

Posiedziała wówczas Monika trochę w domu, odpoczęła cokolwiek, lecz koniec końców poszła do pracy... znowu w Lomme. Pracuje tam dotychczas.

Gdy przedwczoraj matka, spojrzawszy na Monikę, wymówiła tak samo to złowrobné słowo „Gross-Berlin”, nie było już jednak mowy o porzuceniu roboty. Ale nie poszła Monika następnego dnia do fabryki.

— To nie było cię wczoraj? — Zapytał ją z samego rana majster, jakby o

tym nie wiedział. Prawie uprzejme było to pytanie. Lecz owa rzekoma uprzejmość zmieniła się natychmiast, razem z wyrazem jego twarzy:

— To co, trotuar? Na ulicę się poszło zamiast do fabryki? Puszczasz się z Algierczykami? A zarobiłaś dużo?...

Trudno się powstrzymać, by nie trzasnąć w tę gębę słowem takim, które by zadławiło chłama, jak ość, kiedy stanie w gardle. Mimo wysiłku, Monika nie zupełnie może zapanować nad sobą:

— Gdybym się puszczała, to bym nie robiła w tej parszywej budzie!

— He, zadowolonaś, że tu robisz?

— Bo inaczej nie mogę.

Razem z kęsami chleba przeżuwa Monika słowa majstra i swoją własną odpowiedź. Pewnie, gdyby się dało znaleźć lepszą robotę... tylko gdzie jej szukać. Nawet czasu na szukanie nie ma.

Trochę jeszcze myśli Monika o swoim zmęczeniu, o tym, że lekarz dał już raz trzy dni zwolnienia, to więcej chyba nie da... Przypomina sobie tę dziewczynę, która zemdląca na sąsiedniej sali, akurat, kiedy Louis tamtędy przechodził. Natychmiast dał jej trzy miesiące odpoczynku. Odpoczynek, ale bez tego, by uznano ją za chorą. Więc odeszła na trzy miesiące nie mając prawa do żadnego zasiłku. Odpocznie sobie na głodnego. Jeszcze łaskę Louis jej wyświadczył, mówiąc, że na pewno po tych trzech miesiącach przyjmie ją z powrotem do roboty...

Nie ma jednak czasu na rozmyślanie. Zbliża się pierwsza — zaraz trzeba stać przy warsztacie.

Za pięć pierwsza zjawił się na sali nadzorca. Rzucił okiem na warsztaty i od razu spojrzał po kobietach, szukając pomocnicy prządky, odpowiedzialnej za warsztat jeszcze nie zdemontowany. Widocznie nie zdążyła z robotą przed obiadem. Toteż wywarł na nią gębę tak, że dziewczyna nie wiedziała, gdzie się podziać z tego wszystkiego. Jeszcze chciała wytłumaczyć jakoś, że nie robiła podczas przerwy obiadowej, bo niechby się jej coś stało, jakieś pokaleczenie na przykład, wtedy nie ma mowy, aby uznano, że to wypadek podczas pracy, bo była przecież przerwa obiadowa. Ale źle się wybrała z owym wyjaśnieniem. Nadzorcy uważają, że nie ma nic gorszego, jak im „odpowiadać”. Rozwścieklił się też jej nadzorca — fartuch na niej porwał. Prawie do bicia się wziął...

Normalnie toczy się dzień fabryczny. Po obiedzie znowu zaczyna się gorączkowa bieżanina przy warsztatach. Ścieka brudna woda po posadzce. Rozlegają się gwizdki nadzorców. Jak zawsze toczy się robota tym samym kołem.

Kiedy wreszcie kończy się praca, wtedy na tej samej sali przedziałniczej zaczyna się inny ruch: — mycie.

Umywalnia — to słowo, które nie ma tutaj obiegu.

Są drewniane cebrzyki, w których przynosi się wodę do mycia. Woda niekoniecznie musi być zimna. Może też być ciepła, tylko wtedy nie da się jej nazwać czystą, bo trzeba czerpać ją z baków, przesiąkniętych odorem nadgnilego ładu.

Nad każdym cebrzykiem pochylają się głowy, podnoszą się halki. Po kilkanaście razy przechodzi majster przez salę: „Wyżej, no, jeszcze trochę wyżej” — powiada rozpromieniony. Inni mężczyźni, którzy na tej samej sali pracują, też nie mają w tym czasie oczu zamkniętych: Ej, Manuel! — słysząc z jednego końca sali na drugi — Chodźno, patrz, jakie tu ładne nogi! Dobrze widać!”

Z nóg i z rąk, również ubabranych po same pachy — spływają, jedna po drugiej, warstwy brudu. Woda w cebrzyku staje się gęsta niby zawiesina. Zresztą, nie ma mowy, żeby choć się jako tako umyć. Od skończenia roboty do chwili wyjścia z fabryki ma się nie więcej, jak dziesięć minut czasu, — przecież autobus nie będzie czekał. Goń go potem, kiedy już ruszył...

Rojem wysypują się z przedziałni dziewczęta i kobiety. Ich pośpiech można by wziąć — na pierwszy rzut oka — za wyraz rzeźkości. Ale wystarczy nieco dokładniej przyjrzeć się twarzom, aby wiedzieć, że niewiele już trzeba robotnikom w przedziałni, by każda z nich była jak cień człowieka.

Monika wybiega razem z innymi. Za bramą fabryki obejmuje ją jesienny chłód. Przez całe lato nosiła się z postanowieniem, że na jesieni musi sobie sprawić płaszcz... Gdy biegnie do autobusu, obydwa końce szala rozwiewają się, jak para wiotkich, bezradnych rąk.

Balszy ciąg w następnym numerze



W pobliżu miejsca, gdzie rodzi się wielka zaporą, powstało nowe miasto Mingeczaur; wygodne domki, szerokie, asfaltowane ulice, dużo zieleni — oto, co cechuje nowe miasto. W Mingeczaur są już szkoły, kina, stadion, żłobek i przedszkola.

MINGE CZAUR

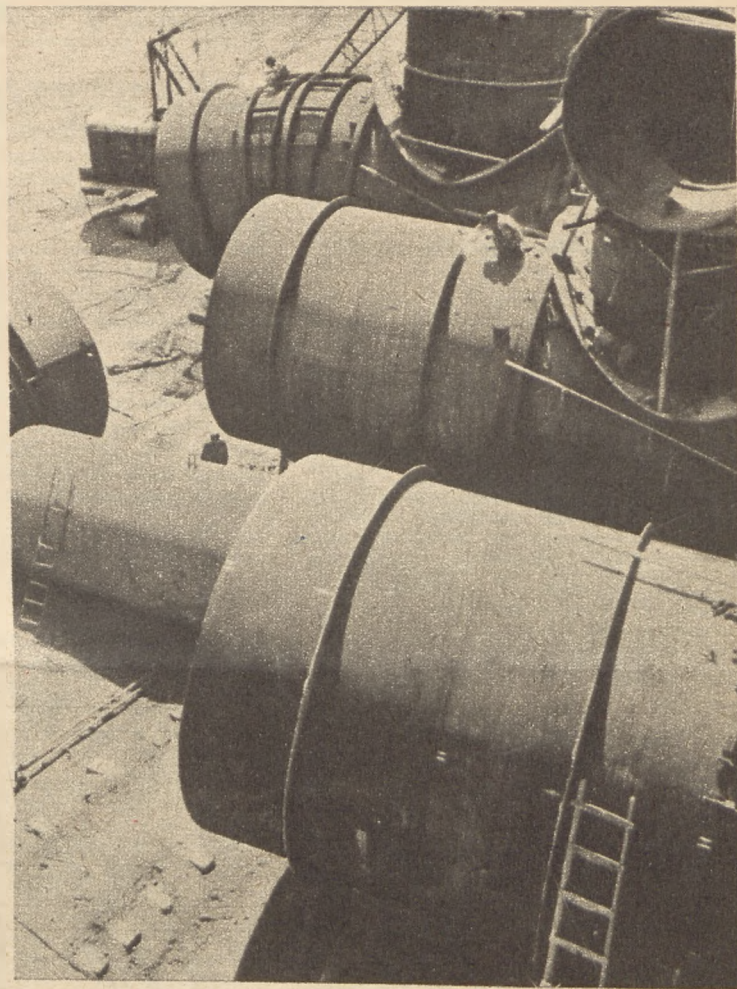
Zdjęcia: W. MAKSIMOW

P O aserbejdżańsku „kür“ — znaczy „kapryśny“. Największa rzeka Aserbejdżanu, Kura, usprawiedliwia w pełni swoją nazwę: zalewa wiosną znaczne obszary niski położonych ziem, pozostawiając bez wody rozległe tereny stepów Mugańskich i Szirwańskich. I dlatego na ziemiach, które mogłyby dawać ryż i bawełnę, winogrona i brzoskwinie — królują szakale i stepowe antylopy „dżerany“.

Jednak okres panowania kapryśnej Kury dobiega końca: w miejscu, gdzie rzeka przebiega przez łańcuch górski Boz Dag, ludzie radziecy wznoszą zapórę o wysokości 76 metrów. Trzeba usypać w jednym miejscu 2 miliony wagonów ziemi, by przegrodzić groźną rzekę.

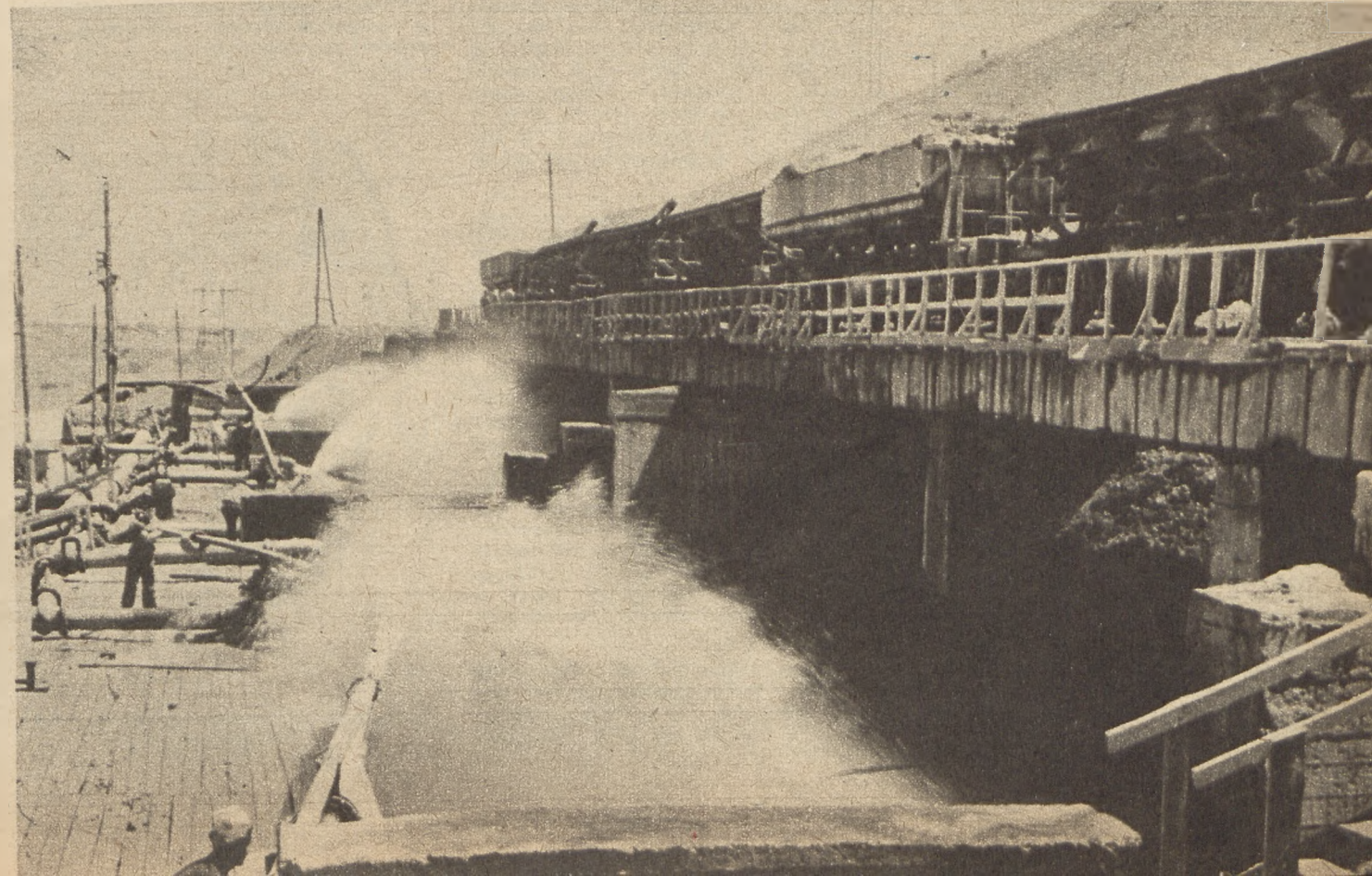
W górnym biegu Kury powstanie nowe jezioro — „mórzce Mingeczaur“. Spiętrzone wody rzeki poruszać będą turbiny wielkiej elektrowni wodnej, nawodnią stepy Mugań i Szirwan. Regulowanie spływu wody zapobiegnie powodziom. Nowa budowla dostarczy energii elektrycznej rozwijającemu się przemysłowi, zwiększy produkcję rolną radzieckiego Aserbejdżanu.

Oto jeszcze jedno z licznych przedsięwzięć człowieka radzieckiego, które są dla nas wzorem w wielkim planie przekształcenia rzek polskich. (Patrz artykuł na str. 14).



Fragmenty ogromnych rurociągów i wież ciśnień, przygotowane do zmontowania przy elektrowni wodnej i sieci kanałów.

Ogromną zapórę elektrowni Mingeczaur budują maszyny. Wydobyta przy pomocy koparek ziemia podjeżdża w wagonach — samowywrotkach do bunkra, gdzie zostaje zmieszana z wodą i przepompowana na zapórę. Człowiek kieruje tylko maszynami.



SWIETLICA w Maszewie Dużym jest dosyć duża; z trudem jednakże pomieściła wszystkich przybyłych w tę pamiętną, zimową sobotę. Pamiętną — tylko dla nas pisarzy i pracowników wydawnictw. Bo w Polsce nie ma już zabitych deskami wiosiek, do których nie docierałyby ekipy Filmu Polskiego czy Artosu, żywe słowo poety lub prelegenta przysłanego przez Towarzystwo Wiedzy Powszechnej. Ten więc wieczór zapowiadał się dla nas specjalnie inte-



Romek Turkowski, zapalony „timuro-wiec”.

resującą: Czytelnik zorganizował dyskusję o nowowydanej przez siebie książce. o „Przebudzeniu” Sybwestra Banasia.

Banas jest z pochodzenia chłopem, z zawodu precyzyjnym tokarzem. Przez dwa lata był dyrektorem POM-u w Dańkowicach. „Przebudzenie”, którego tematem są przemiany społeczno-polityczne wsi polskiej, zawiera ogromną sumę doświadczeń człowieka, który był tak swanym „działaczem terenowym”. Jego książka jest debiutem: krytyka literacka na pewno właściwie ją oceni, nie oszczędzając autora, który mimo popełnienia wielu błędów zasługuje na poważne traktowanie. Ale nie o to chodzi. Celem dyskusji była konfrontacja książki z jej czytelnikiem, sprawdzenie społecznej przydatności Banasia jako agitatora-pisarza.

Świetlica powoli zapełnia się: pierwsi przyjeżdżają ludzie z Maszewa i spółdzielcy z Białej Nowej; zaraz po nich przyjechał autobus z POM-u w Niegłosach — za kierownicą siedział przewodnik pracy i poseł na sejm, Mieczysław Różański. (Na codzień jest traktorystą, tak jak Putrament pisarzem, a wybrany posem z Krakowa Roman Kosiorowski majsterem budowlanym w Nowej Hucie). Teraz, przywiozłszy do Maszewa swoich kolegów, poseł Różański zawrócił po ostatnią partię zaproszonych gości, po spółdzielców z Chelpowa. Kiedy się zjawił w świetlicy, dyskusja była w pełnym toku i nic nie wyszło z wywiadu, po którym wiele sobie obiecywałam.

„Przebudzenie” to książka dla dorosłych. Ale w świetlicy znalazło się wiele młodzieży i — co jest bardzo charakterystyczne — przemawiali prawie wyłącznie ludzie młodzi. (Najmłodszy z dyskutantów, Stefan Mikołajski, jest harcerzem i ma piętnaście lat).

W przerwie pomiędzy dwoma przemówieniami rozmawiałam z moim sąsiadem. Jego dzieciennie ostrzyżony łebek i zadarty nos dziwnie kolidują z poważnym tematem zebrania. Chłopiec nazywa się Romek Turkowski i chodzi do czwartej klasy. Na dyskusji:



„W wykonaniu planów bardzo pomogło nam współzawodnictwo międzyzakładowe” — mówi Stefan Mańkowski, sekretarz Podstawowej Organizacji Partyjnej w POM-ie, Niegłosy.

przyszedł, gdyż niedawno czytał doskonałą książkę, a to ma być wieczór poświęcony tej książce, więc kto wie, może będzie warto się i do niej zabrać. Dotychczas mało czytał. Wolał „ganiać z chłopakami”. Ale odtąd dostał „Timura i jego drużynę”...

Boję się, czy Banas nie ochłodzi zapachu wielbiela Gajdara i czy przypadkiem po okresie zachwyty nad książkami w ogóle, zachwyty zrozumiałego bardzo po takim przeżyciu, jakim jest dla każdego dziecka przebywanie w kraju Timura, czy więc teraz nie nastąpi na jakiś czas w umyśle Romeka jakieś niekorzystne uśpienie po tym przedczesnym „Przebudzeniu”. Czy Romek nie odejdzie od książki. Ale dalszy ciąg naszej rozmowy uspokaja mnie.

— Jesteś z Maszewa?

— Nie. Z Białej Nowej. Ze spółdzielni. My jesteśmy spółdzielcy — odpowiada, akcentując słowo my i dla nadania sobie ważności wkłada do kieszeni obydwie ręce i zadziera głowę.

Romek nie znalazł dziś tego, czego szukał: upojenia cudzą przygodą ani przynależącej radości uległości, z jaką wyobraźnia poddaje się beletrystycznej fikcji. Pozostanie w świecie spraw codziennych, życiowych, które, jak się okazuje, już go obchodzą.

Duże zainteresowanie wzbudzają obecni na sali warsztatowcy, monterzy, kowale i traktorzyści z POM-u w Niegłosach. Już wszystkim nam wiadomo, że są gotowi do wiosennej akcji; dziesiątego lutego odbył się komisyjny przegląd wszystkich maszyn, kontrolerami byli współzawodniczący z udziałowcami pracownicy POM-u ze Lwówka. A przecież mieli poważne trudności: brak części zapasowych do siewników, opóźnienia w robotach kowalskich z powodu braku ludzi do pracy...

— W sprawie tych części wymiennych interweniowała partia; udało nam się sprowadzić je z Warszawy — mówi zetem powieć Szatkowski. — Potrzebni nam kowale też się znaleźli.

— Resztę brakujących zastąpiło współzawodnictwo wewnątrzzakładowe —



Ob. Janiszewska, żona ogrodnika-spółdzielcy z Chelpowa.

dodaje sekretarz partii w Niegłosach, Stefan Mańkowski. — Wszyscy pracowali uczciwie. Ale najwięcej to chyba Różański i Helman. A musicie wiedzieć, że warunki mieliśmy wcale nie świetne. Za mało jeszcze szop w Niegłosach. No i remontowało się nie raz i nie dwa na podwórzu, pod gołym niebem.

Rozmowę przerywa nam kolega z mikrofonem, żeby nagrać wywiad dla Polskiego Radia. Słyszycie jeszcze, jak Szatkowski apeluje do swoich rozsiadanych po całej Polsce towarzyszy. — Pamiętajcie dobrze kontrolować wasze maszyny. Bo jak zawiąda podczas akcji siewnej to co będzie? Pamiętajcie, że spółdzielcy liczą na was i wierzą wam.

Później, w dyskusji nad książką Banasia dominuje ten sam akcent: wyciąganie praktycznych wniosków z każdej omawianej sprawy. Takich epitetów, jak „ładny”, „interesujący” czy „ciekaw” nie słyszy się. Dla spółdzielców i pracowników POM-u ważne jest tylko, czy autor słusznie rozwiązuje postawione przez siebie zagadnienie, czy jego obraz wsi jest „prawdziwy”. I tu następuje porównanie beletrystycznej fikcji z własnym doświadczeniem przemawiającego.

— Autor dobrze nakreślił życie polskiej wsi i walkę klasową na wsi, dobrze trudności w zorganizowaniu POM-u. U nas też tak było — mówi



— U nas też tak było — mówi przewodniczący ZMP — traktorzysta Szatkowski.

Szatkowski. — W stodole mieściło się i biuro, i warsztat, i kwatery traktorzystów. Kował był równocześnie wartownikiem. Kuł z karabinem na ramieniu. Teraz jest brygadziwą kowalskim i wykonuje sto pięćdziesiąt i więcej procent normy. — Brak opieki nad POM-em ze strony Powiatowej Rady Narodowej i partii, który ukazał Banas, był w czasie powstania wielu błędów w początkowym okresie pracy nad zakładaniem spółdzielni produkcyjnych. — Autor do brzo pokazał, jak to się u nas te spółdzielnie organizowało: byle jak, byle wykonać plan ilościowy. Teraz są zgrzyty i trudno je usunąć. Szatkowski, jak wszyscy zresztą chłopcy mówiący o „Przebudzeniu”, podkreśla użyteczność tej książki. Jedyny zarzut, który stawia autorowi, to brak prawdy w przedstawieniu postaci głównego bohatera, Ignaca. Zarzut najzupełniej słuszny. Osiemnastoletni chłopak Ignac na statek mówi „plywająca chałupa”. Ignac jest podobno postacią autentyczną i to jego wyrażenie jest również autentyczne. Był sierotą; wyszukiwany przez bogatego krewnego, naumyślnie trzymany przez opiekuna w ciemnocie, odsuwany od kontaktów z rówieśnikami, pozbawiony nauki, nie był rozwinięty jak normalny chłopak w tym wieku. Prawdziwy, ale nieprawdopodobny wypadek, którego opisanie stało się jednym z grzechów głównych Banasia przeciwko realizmowi, jedynym błędem wytkniętym mu podczas tej dyskusji.



Opowiada Ochociński każdy chętnie posłucha.

Bo wszyscy inni mówcy zgodnie podkreślali jej zalety: „prawdziwość” i „życiowość” — jak się wyraziła żona ogrodnika — spółdzielcy z Chelpowa, Janiszewska. „Książka Banasia jest życiowa, pokazuje te same problemy, co u nas. U nas też ludzie bali się spółdzielni. Zwłaszcza kobiety. A teraz podniosła się stopa życiowa”. Janiszewska, mimo że nie należała do założycieli spółdzielni, gdyż tak jak wielu sąsiadów musiała przezwyciężyć w sobie nieufność do „tego nowego, czego nikt tu nie widział”, szybko poznała się na korzyściach płynących z zespołowego sposobu gospodarowania. Szybkiej może niż wielu jej towarzyszy. Mówiła nie tylko o wzroście plonów z hektara i dochodów z pracy, ale także o rozszerzaniu się zainteresowań spółdzielców, o ich wzroście kulturalnym.

Na trybunę wchodził coraz to nowi mówcy: spółdzielcy i traktorzyści. Książka Sylwestra Banasia, robotnika, stawiała się coraz bardziej pretekstem tylko, marginesem, na którym chłopcy jej czytelnicy zapisywali własne przeżycia, własne, niedawno przeżywane niepokoje i przyzmi nadzieje. Często, bardzo często zwierali się ze swoich trudności i zawodów. Z tych wystąpień poznałszy ich pionierską żarliwość i zdecydowanie.

Jak urodzony agitator mówił młody Ochociński, dawny kuliak parobek, a teraz spółdziałca. I nie wiadomo za co bardziej był oklaskiwany: czy za humor i talent ludowego gawędziarza, z jakim opowiadał swoją



15-letni Stefan Mikołajski najbardziej zainteresował się postacią młodego Ignaca Patysa, którego wyszukiwał bogacz Rzepecki.

„prawdziwa” i oparta na autentycznym zdarzeniu gadkę o kulaku, u którego służył, czy za te 440 dniówek obrachunkowych, które księgowy spółdzielni zapisał na jego szesnastoletnim koncie.

Ochociński jest trochę artystą; nie opowiada jak zwykły zjadacz chleba, tylko nieznacznie odgrywa swoją gadkę. Całą postacią, intonacją, ledwie zaznaczonym gestem podkreśla dowcip sytuacji, charakter występujących w opowiadaniu postaci. Gadkę podaje w dialekcie, który bardzo już rzadko odzywa się w tejże mowie. To jeszcze bardziej cenniejszy słuchacz: zna opowiadania Ochocińskiego i wie, że kiedy zacznie mówić „po dawnemu”, będzie się można pośmiać, albo chociażby tylko uśmiechnąć.

— Zgodziłem ja się do gospodarza za trzy tysiące starych złotych, litr mleka i metr kartofli — zaczyna, a w świetlicy już odzywają się tłumione chichoty.

— Będziemy razem jedli, mówi gospodarz.

I zaraz chleb se posmarował, odwrócił masłem do spodu i tak tę kolację pospólnie jemy.

Na drugi dzień — obudził przed trzecią. Wstałem, obrządziłem konie, jak parobkowi przysługiwało. Gospodarz spał z gospodynią do dziewiątej. Tak im przysługiwało.

Przyniesła służąca, bo służącą też mnieli, chleb do pola:

— Masz ten czarny chleb. Jidz parobku. Bo gospodarz to kurę jadł!

I tak my to jedli pospołu.

Skuchacie się śmiejąc się, Ochociński schodzi z trybuny. Szusnie uważa, że komentarz tu jest zbędny. A wniosek z tej opowieści jak i z całego zebrania jest jeden i ten sam; wyrzili go jeden z pierwszych mówców, pracownik POM-u w Niegłosach, Koper: „Książkę „Przebudzenie” trzeba zaniesić do każdego pracującego chłopca. Potrzebna jest, żeby ich przekonać, że wróg walczy tak i owak, na wszelki sposób”.



PROF. DR MARIAN WILCZEK.



WYDOBYWANIE ODPRYSKU ŻELAZA Z OKA PACJENTA PRZY POMOCY ELEKTROMAGNESU.

WALKA O WZROK

RADZIECKIE METODY W NASZEJ MEDYCYNIE

DO KLINIKI przywożą 15-letniego chłopca. Gdy lekarz dyżurny rozwiązał bandażę spowijającą chorego jak mumię, oczom zebranych ukazał się tragiczny widok. Policzki i powieki jakby wyżarte. Rany na pierśsiach i na rękach.

„Jak on sobie to zrobił?” — pytali przerażeni lekarze. Ojciec, małorolny chłop spod Krakowa, odpowiedział ze łzami w oczach: „Znalazł w pobliżu dawnego hitlerowskiego bunkra szklaną bombkę z jakąś wodą. Otworzył i wepchał drut. A tu jak nie wybuchnie! Krzyczał tak strasznie, że nie wiedział, gdzie się podział. Dwóch zabrała mi wojna. A to trzeci. Jedynak teraz”.

Analiza wykazała, że była to po prostu ampulka ze stężonym kwasem solnym. Po włożeniu do kwasu drutu nastąpiła gwałtowna reakcja chemiczna. Parujący z siłą wybuchu płyn oparzył chłopca. Najgorzej wyglądały oczy. Szybki oczu — rogówki — zmatowiały. Chłopak oślepił.

Gdyby wypadek ten zdarzył się w klinice kilka lat temu, los chłopca byłby przesądzony — do końca życia pozostałby niewidomy. Tymczasem dziś temu chłopcu spod Krakowa mógł przyjść z pomocą (za pośrednictwem lekarzy krakowskiej kliniki) — słynny dziś Włodzimierz Filatow, lekarz i uczonec z dalekiej Odessy.

UMARLI LECZĄ ŻYWYCH

Akademik Filatow od kilku dziesiątków lat zajmuje się zagadnieniem leczenia oczu i przywracania wzroku tym, którzy utracili zdolność widzenia na skutek uszkodzenia i zmatowienia szybki oka — właśnie rogówki. Pierwszym etapem doświadczeń Filatowa było opracowanie świetnej metody operacji zwanej keratoplastyką: wycina się w zniszczonej, zmatowiałej rogówce okienko i w okienko to wstawia się przezroczystą jak szybka część rogówki z oka... człowieka zmarłego.

Dlaczego przeszczepia się właśnie oczy zmarłych? Otóż wielki uczonec w wyniku przeprowadzonych doświadczeń przekonał się, że operacje udają się najlepiej, gdy jako materiał do przeszczepów używa się wycinków z oczu osób zmarłych (naturalnie zdrowych oczu), konserwowanych przez pewien czas w niskiej temperaturze. Bywało, że krążek, pobrany z oka przechowywanego przez pewien czas w chłodzie, wstawiony w okienko zmatowiałej rogówki nie tylko przywracał wzrok w operowanym oku, lecz również przywracał zdolność widzenia i usuwał bielmo w drugim oku, jeszcze nie operowanym.

Filatow nie poprzestał na stwierdzeniu tego niezwykłego faktu. Dalsze badania (a napisał na ich temat przeszło 150 prac naukowych) doprowadziły go do fantastycznych wprost wyników. Wiadomo, że różne tkanki ciała ludzkie-

go oraz tkanki organizmów roślinnych i zwierzęcych, oddzielone od całości organizmów, mogą przez pewien czas żyć samodzielnie. Filatow, kierując się swymi badaniami, doszedł do wniosku, że gdy tkanki takie przechowuje się w trudnych dla życia warunkach, wytwarzają one dla obrony przed tymi warunkami duże ilości specjalnych substancji, będących swoistymi bodźcami pochodzenia biologicznego. Jeżeli substancje te wprowadzi się do chorego organizmu, dajmy na to do chorego oka, oddziałują one w całym organizmie pobudzając na procesy życiowe, pomagając organizmowi do zwalczania choroby. Na tym właśnie polegała tajemnicza siła lecznicza zakonserwowanych w chłodzie rogówek z oczu zmarłych. Wytwarzały się w nich po prostu owe substancje-bodźce, które po wprowadzeniu do oka pacjenta powodowały szybkie jego zdrowienie, działając równocześnie pobudzając na regenerację drugiego oka — jeszcze nie operowanego.

Jasne, że tak pojęta metoda Filatowa (korzystne oddziaływanie substancji — bodźców na cały organizm) wyszła daleko poza ramy samej okulistyki. Terapia tkankowa, leczenie tymi substancjami stosowane jest obecnie do walki z chorobami skóry, z wieloma chorobami wewnętrznymi, takimi nawet, jak niektóre postaci gruźlicy płuc, jak astma, wrzody żołądka itd.

Najłatwiej i najpraktyczniej jest używać do leczenia tkankowego wyciągów z różnych tkanek, przechowywanych w niskiej temperaturze, na przykład w postaci roztworu do zastrzyków. Taki środek, powszechnie dziś stosowany i wytwarzany u nas w zakładach farmaceutycznych, to wyciąg z łożyska wydalanego podczas porodu. Wyciągiem łożyska leczono właśnie zmatowiałe rogówki poparzonego kwasem solnym chłopca. Zastrzyki, przeszczepianie skóry w miejsca wyżarte przez kwas, leki prze-

ciwzapalne — oto cały arsenał środków zastosowany przez krakowską klinikę do walki o zdrowie dziecka.

Chłopak odzyskał całkowicie wzrok. Z wdzięcznością i wielkim szacunkiem mówi o swoich wybawcach. Szczególnie ciepło brzmią jego słowa o Filatowie — dalekim uczonym z Odessy. „To on mnie uratował. Nie zapomnę tego nigdy”.

POCZĄTEK DROGI

Metody profesora Filatowa uratowały już od ślepoty tysiące osób. Stosowane u nas we wszystkich niemal klinikach okulistycznych dają doskonałe rezultaty. Naturalnie metody te nie są jakimś uniwersalnym sposobem leczenia oczu. W przypadkach, gdy nie tylko rogówka, ale i inne części narządu wzroku uległy bardzo poważnym uszkodzeniom, zastosowanie ich nie daje pożądanych wyników. Toteż do walki z różnorodnymi schorzeniami oczu kliniki okulistyczne stosują inne również zabiegi. Przeprowadzają dziesiątki niezwykle precyzyjnych operacji. I właśnie tej precyzji trzeba poświęcić trochę uwagi. Stanowi ona przecież charakterystyczną cechę okulistyki.

W klinice krakowskiej oglądałem błyszczące nożyki i pincety o ostrzach milimetrowej szerokości. Takimi drobnymi instrumentami musi posługiwać się dłoń chirurga-okulisty. Operacje przeprowadzają okuliści z małymi lornetkami na oczach. Odchylenie nawet o milimetr od wyznaczonego pola zabiegu grozi pacjentowi utratą wzroku na całe życie. Zastanówcie się, drodzy Czytelnicy, choć przez chwilę nad wielką odpowiedzialnością, jaką przy każdym ruchu ciąży na lekarzu naszych oczu.

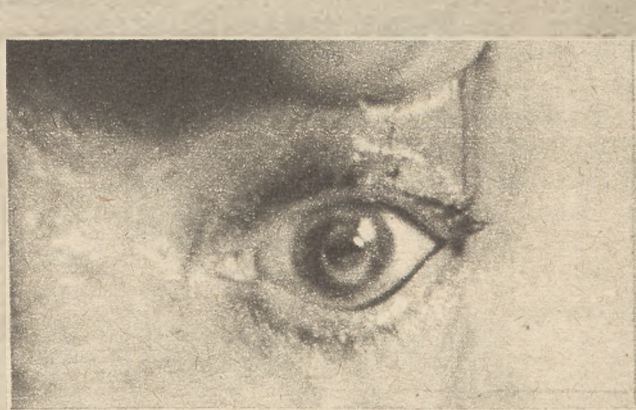
Gdy mowa już o precyzji zabiegów okulistycznych, niesposób nie wspomnieć o dużym sukcesie profesora Wilcz-

ka, który skonstruował małe szczypce, służące do wyjmowania ciał obcych tkwiących głęboko w oku pacjenta. Z wyjmowaniem odprysków żelaznych dawano sobie dotychczas doskonale radę. W jednej z sal kliniki znajduje się wielka kula elektromagnesu, przy pomocy którego wyłania się okruczy żelaza z oczu chorego. W wypadkach jednak, gdy w oku utkwił — dajmy na to — kawałek miedzi, elektromagnes staje się bezsilny. Wielką pomocą okazuje się wówczas narzędzie profesora Wilczka: nacina on powiekę i małe szczypce, przypominające łapki raka, wprowadza ostrożnie do ranki. Szczypce chwytają okruczy miedzi, zaciskają się na nim i teraz już wydobycie tego okrucza jest tylko kwestią sekund.

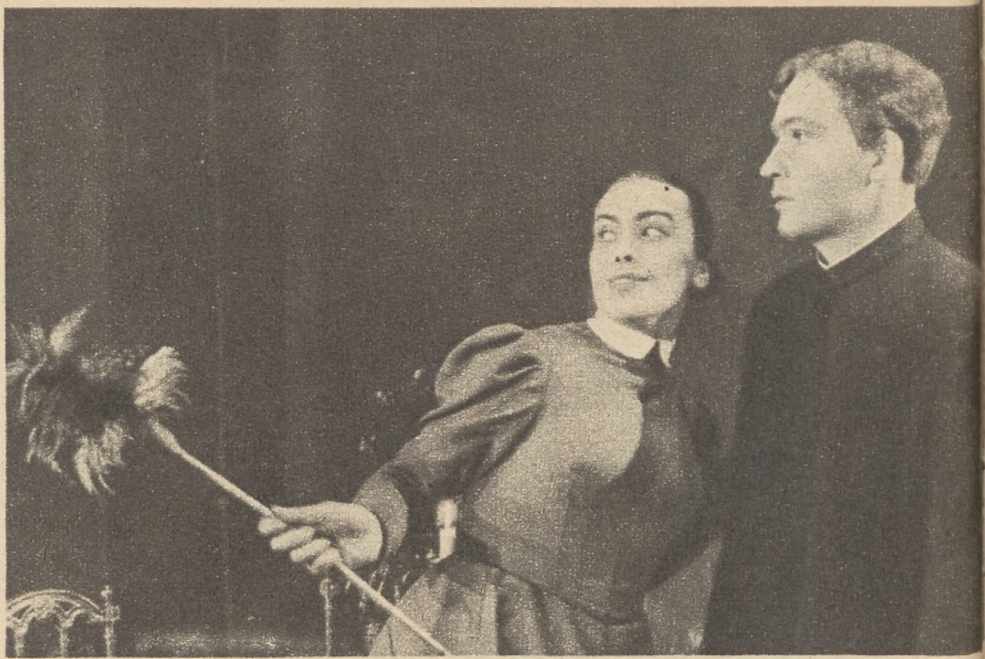
Podobnym przyrządem udało się niedawno prof. Wilczkowi wydobyć z oka wagra — niebezpiecznego pasożyta, który dostawszy się drogami krwionośnymi do wnętrza oka, potrafił tam zerwać długi czas niszcząc stopniowo wzrok. Wypadek wydobywania wagra z ciała szklatego nie był dotychczas notowany w kronikach lekarskich, jest więc ciekawym osiągnięciem kliniki krakowskiej.

„Największym osiągnięciem naszego leczenia jest fakt, że wszystkie najnowsze metody leczenia mogą być stosowane powszechnie i bezpłatnie — powiedział kierownik kliniki krakowskiej, prof. Wilczek. — Ilość porad udzielonych przez nasz zakład zwiększyła się wielokrotnie w porównaniu z czasami przedwojennymi. Znacznie wzrosła ilość łózek. W klinice naszej kształciło się dawniej pięciu specjalistów. Dziś jest ich 5 razy więcej. Ale te wszystkie osiągnięcia stanowią dopiero początek wspierania drogi, na którą wkroczyła nasza służba zdrowia. Jesteśmy u progu wielkich przemian i rewolucji w naszej medycynie”.

ADAM HOLLANEK



Z lewej: oko pacjenta kliniki krakowskiej przed zastosowaniem operacji keratoplastycznej. Oko zaćmione jest bielmem, szybka oka — rogówka — zmatowiała. Z prawej: to samo oko po operacji. Dzięki osiągnięciom prof. Filatowa pacjent odzyskał wzrok.



Scena z aktu III „Płodów edukacji“. W. Kruszevska (Tania), A. Słociński (Sjemił)

12

DOWCIP — NARZĘDZIE WALKI

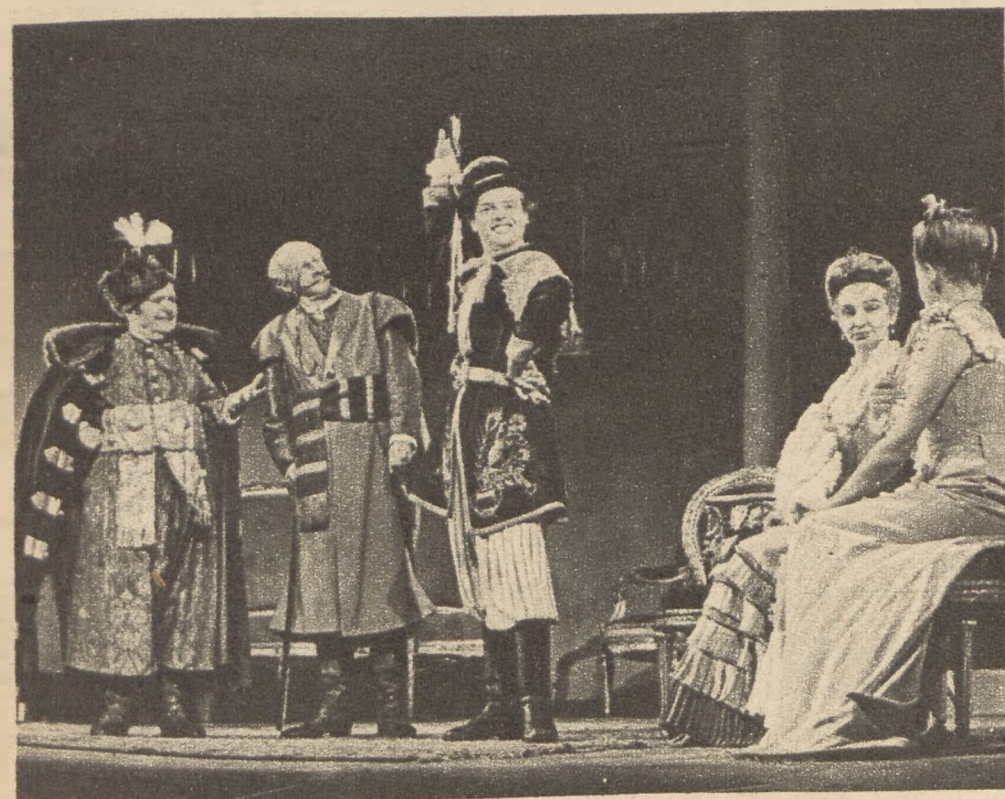


Scena zbiorowa z aktu II krakowskiego przedstawienia „Plodów edukacji” Tolstoja



Fot — Nowicki

Scena z „Plodów edukacji” Lwa Tolstoja, granych obecnie na scenie Teatru im. J. Słowackiego. Reżyser: W. Krzemiński, scenograf: K. Frycz. Na zdjęciu: Z. Jaroszeńska i Z. Mrożewski.



Fot. J. Frąckiewicz

Scena z „Ciężkich czasów” Michała Bałuckiego, granych obecnie na scenie krakowskiego Teatru im. J. Słowackiego. Reżyser: W. Krzemiński, Scenograf: A. Stopka.

W „**PLODACH EDUKACJI**” reżyser Władysław Krzemiński, budując logiczną całość przedstawienia, umiejętnie połączył zabawę z satyrą, ironię i zawarte w utworze ostre społeczne oskarżenia. Wydaje mi się, że Tolstoj, pisząc tę sztukę, bawił śmiesznością sytuacji i komizmem wielu swych postaci, jak to czynił Beaumarchais w „Weselu Figara”, czy Słowacki w pierwszych scenach „Fantazego”. Równocześnie, tak samo jak Beaumarchais, jak Słowacki (jak przed nimi Moliere czy Lope de Vega), uważał autor „Plodów edukacji” swój dowcip — za narzędzie walki. Nie ośmieszał spirytystycznej manii Zwiedzincewa po to, by zdobyć temat do napisania zabawnej sztuki; czynił to po to, aby wykazać, jak nikłe są podstawy rzekomej przewagi kulturalnej „wyższych sfer” nad „nieedukowanym” ludem.

Przedstawienie krakowskie znakomicie utrzymuje ową równowagę. Z wyjątkiem początkowych scen drugiego aktu (których tempo wydaje się zbyt powolne), ani na chwilę nie tracimy poczucia, że „Plody” są komedią, ale też ani na chwilę nie zapominamy, jakie społeczne perspektywy odkrywa rozbrzmiewający w tej komedii śmiech. Oto kilka przykładów:

Zdzisław Mrożewski — odtwarzający może najbardziej odpowiedzialną rolę Zwiedzincewa, subtelnymi rysami zaznacza społeczną i duchową nicość swej postaci. Zwiedzincew ujęty bardziej groteskowo (a sam tekst stwarzał w tym kierunku duże pokusy) zniekształciłby atmosferę sztuki, która została napisana w roku 1889, za Aleksandra III, w chwili, gdy ludzie tego typu — „właściciele 24.000 dziesięcin w różnych guberniach” byli u szczytu potęgi. W pałacu tego arystokraty tak jest wszystko urządzone, że nie ma on właściwie nic do roboty; nawet wydawanie rozkazów dla służby odbywa się za pośrednictwem majordoma, starego kamerdyniera Fiedora — którego w Krakowie świetnie gra Tadeusz Białkowski. Mania spirytystyczna jest więc właściwym polem działania Leonida Zwiedzincewa. A jednak, ten spirytysta, ustawicznie „nieobecny” myślami, umie bardzo praktycznie wykorzystywać sytuację chłopów, zwracających się do niego z prośbą o sprzedaż ziemi (w roku poprzednim zgadzał się na sprzedaż ratałną, za pośrednictwem banku; teraz, gdy chłopie uzbierali trochę gotówki, zajmuje już stanowisko odmienne). Mrożewski podkreśla te rysy z właściwym sobie kunsztem subtelnej i pełnej umiaru — aktorskiej ironii, którą tak interesująco zaprawiał inne swe role (np. w „Lekko-myślnej siostrze” Perzyńskiego, w „Alkardzie z Zalamei” Calderona czy w „Talentach i wielbicielach” Ostrowskiego).

Publiczność krakowska słusznie się też entuzjazmuje grą Heleny Chanieckiej, w roli „otyłej damy”, Marii Tołbuchin. Brednie tej pani, której nikt nie może przegadać, jej „wytrawna” paplanina, jej przekonanie, że na seansie spirytystycznym widziała trzepoczące się niemowlęta, jej typ ubogiej i „buźnej” wyobraźni — to wszystko mogłoby zwichnąć proporcję przedstawienia, gdzie świat arystokracji musi być prawdopodobny i realny, aby się stać przedmiotem naprawdę buntowniczo brzmiących ataków (któż się buntuje przeciw nicości?). Otóż gra Chanieckiej uprawdopodobnia tę postać, czyni ją interesującym przykładem i zjawiskiem skłaniającym do rozmyślań. Wierzmy, że tak naprawdę „otyła dama” mogła żyć w ówczesnej Moskwie, wśród próżniactwa i bezmyślności „wielkich fortun”.

Równie interesująca jest rola Zofii Jaroszeńskiej jako pani Zwiedzincew. Ma-

zonka fanatka spirytyzmu nie wierzy w seanse i duchy, jest rzekomo „wolna od przesądów”. Ale teza Tolstoja przeprowadzona z logiczną konsekwencją brzmi: „Nie wiercie pozorom kultury”. Nie dajcie się oszukiwać twierdzeniem o wyższości umysłowej ludzi „edukowanych”. Pani Zwiedzincew, która w duchy nie wierzy, zrobiła sobie fetysza z wiary w lekarzy, lekarstwa i mikroby. Scena z wyrzucaniem za drzwi chłopów, których lęka się pani Zwiedzincew, gdyż w ich gubernii rzekomo szerzy się dyfteryt, i owe rozpylania wody destylowanej, które stanowią nowy rodzaj guśli — to drwiny ze sfery arystokratycznej równie ostre, jak późniejsza scena sfingowanego przez pokojówkę seansu. Ale pani Zwiedzincew nie jest postacią farsową. Tak, jak ją gra Jaroszeńska, w sposób pełen godności, pokrywający nawet historię (artystka nie uległa pokusie histerycznego łkania), jest najlepszym i najtrafniejszym uderzeniem, najmocniejszym środkiem satyry — że się tak wyrażę — „portretującej”.

Każdy w tym świecie Zwiedzincewów żyje jakimiś fikcjami i nonsensami, z życiem prawdziwym związany tylko — brutalną troską o pieniądź. Gdy pani Zwiedzincew dowiedziała się o figlu pokojówki urządzającej seans, aby uzyskać zgodę na sprzedaż ziemi, zapomina nawet o mikrobach — a myśli przede wszystkim o unieważnieniu podpisanej umowy i ukaraniu Tani. Młody Wasyli Zwiedzincew — syn, kandydat prawa, myśli o figlach, psach i koniach; skazuje stangreta (gra go Ludwik Ruszkowski) na wspólne mieszkanie z psami, chłopów uważa za „aparatus” do wyciągania forsy. „Dajcie pieniądze, nie bądźcie chciwi!” powtarza, ilekroć ich widzi. Kazimierz Meres, który gra tę rolę, raczej tuszuje jej jaskrawość. A przecież, dzięki talentowi i inteligencji artystycznej tego młodego aktora — jakże się ta postać rysuje barwnie, soczyście i ostro.

Reżyseria trafiła w sedno, unikając wielu innych niebezpieczeństw. Sztuka Tolstoja jest daleka od idealizowania chłopów czy gloryfikacji „powrotu do natury”. Reżyser słusznie podkreślił zdrowy krytycyzm, który chłopom i niektórym lokajom pozwala surowo ocenić pustkę świata „pańskiego”, arystokratycznego. Oczywiście, iż chłopie w „Plodach edukacji” nie są jeszcze nastroszeni rewolucyjnie. Trzeci z chłopskiej trójki (przybywającej do Zwiedzincewa w deputacji od gromady, by nabyć ziemię) jest stary i pamięta jeszcze czasy pańszczyzniane. W interpretacji Mariana Jastrzębskiego raz po raz kłania się Zwiedzincewowi do ziemi, lub kurczy się ze strachu, a nawet chowa za plecy potężnego wzrostem kolegi (Eugeniusza Fuldego). Ale te objawy szacunku czy lęku łączą się całkiem naturalnie z ostrą drwiną, jaką rzuca pod adresem przeciwniej strony, na równi z kolegami.

Myślę, że zestawienie tych faktów daje pewne pojęcie o wartości przedstawienia. W scenie „seansu spirytystycznego” hipnotyzer (Wojciech Ruszkowski) usypia „medium” (Antoni Słociński). W zapale hipnotyzerskim woła: „Patrzcie, jak on śpi. Można by mu przekłuć ręce!” W tym momencie „medium” (które udaje sen, by pomóc do sfingowania seansu mającego służyć celom chłopskim) ruchem dostrzegalnym dla widowni, a niezauważonym przez uczestników seansu, chowa dłoń w długich rękawach swego surduta. Ten efekt podkreśla znakomicie komizm sfingowanego „seansu”. Jest zaostreniem sytuacyjnego humoru, a zarazem jakby nowym światłem reflektorów na satyryczny sens utworu.

WOJCIECH NATANSON



SZTURM NA DUNAJEC

STOIMY na zboczu doliny, naprzeciw potężnego masywu Zielonej Góry. Od rzeki dzieli nas wąskie, pokryte śniegiem pole i mały, rzadki las. Rzeka płynie wątko samym środkiem koryta, omijając nadbrzeżne skałki, i ginie z oczu gdzieś koło Czorsztyna i Niedzicy. Wąska to rzeka — właściwie szeroki strumień — i słuchając opowiadań starych mieszkańców Czorsztyna, pamiętających przedwojenne klęski powodzi, trudno tę rzeczulkę utożsamiać z groźnym Dunajcem, który nieraz już przecież tyle szkód wyrządził okolicznym osiedlom.

Ba, gdyby tylko okolicznym osiedlom! W przedwojennym roczniku hydrologicznym znajdujemy wiadomości, jak szybko ten „strumień” przemieniał się w olbrzymią lawinę wody, niszczącą na swej drodze wszystko, na co napotykał. „Wezbrana woda Dunajca utworzyła po lewej stronie końcowego odcinka rzeki rozległy zalew, zaś po stronie prawej dostała się aż do lewego wału Wisłoki. Ta część wód Dunajca połączyła się później z wodami górnej Wisły, zasilanymi wodą Rawy, Skawy i Soły, oraz z wodą powodziową Wisłoki. W ten sposób na prawym brzegu Wisły utworzył się ogromny rezerwuuar wód powodziowych”.

Jakie szkody przynosi ten niezaplanowany zbiornik wodny, można wyczytać w tymże samym roczniku.

W r. 1925 w pięciu tylko zachodnich powiatach województwa krakowskiego woda zalała 50 gmin, pozbawiając schronienia 40.000 mieszkańców, i zniszczyła zasiewy na obszarze przeszło 12.000 ha. Podobne zniszczenia wyrządziła powódź w całym południowym dorzeczu górnej Wisły. Siedziby ludzkie zostały zniszczone; przybór wód był tak gwałtowny, że nie wszędzie zdołano uratować inwentarz.

Zagrożone zostały wielkie miasta. W Przemyślu w wieki budynków woda podmyła fundamenty. W Krakowie woda wtargnęła do kolektorów i rurociągów i zalała piwnice i suteryny w położonych niżej dzielnicach miasta.

Ale to nie katastrofalne powodzie i chęć zabezpieczenia przed nimi rejonu Górnej Wisły zainteresowała Dunajcem francuski kapitał w latach międzywojennych. Sprawili to możliwości energetyczne górskiej, bystrzej rzeki. Kapitałści obliczyli, ile zysków przyniesie zbudowanie zapory na Dunajcu, przeliczając na franki i dolary kilowatogodzin taniej energii — białego węgla. Powstał Rożnów, zapora z małym zbiornikiem: wystarczającym, aby produkować energię, za małym, aby zabezpieczyć przed powodziami. Ale też zyski przynosi tylko energia elektryczna...

ZAŻEGNAĆ KLĘSKI POWODZI

Inżynierowie Polski Ludowej również zainteresowali się bogactwami Dunajca. Tym razem chodziło jednak nie tylko o biały węgiel. Od początku swych długoletnich studiów i badań inżynierowie wodniacy rozpatrywali możliwości zażegnania raz na zawsze klęski powodzi.

Prace projektowe rozpoczęły się już w pierwszych latach po wyzwoleniu. Obecnie są już poważnie zaawansowane. W Warszawskim Biurze Projektów Słowni Wodnych wielu inżynierów i techników bada dokładne mapy doliny Dunajca, bada przepływ rzeki, ustawia w projekcie zapory, buduje słownie,

zbiorniki, oblicza wyprodukowaną energię elektryczną.

W Czorsztynie, w większości domów nie używa się światła elektrycznego. Tak jak przed laty palą się lampy naftowe. Inżynierowie pracujący nad projektem chcą, by jak najszybciej zjawyły się tam żarówki, by miliony kilowatogodzin popłynęły liniami wysokiego napięcia w głąb kraju.

Opracowując projekt postawiono sobie trzy zasadnicze zadania:

Pierwsze, by projekt ujarzmienia Dunajca harmonizował i był częścią składową gigantycznego planu przeobrażenia przyrody rzek w całym kraju, co zapowiedział Program Frontu Narodowego i co będzie realizowane zwłaszcza w okresie pięcioletki 1956 — 1960.

Drugie, by był to projekt kompleksowy, to znaczy uwzględniający wszystkie dziedziny gospodarki, jak energetykę, żeglugę, hodowlę ryb, leśnictwo, rozwój przemysłu, komunikacji.

Trzecie wreszcie, aby wykorzystać dla gospodarki siły wodne całego Dunajca oraz jego dopływów. Na mapach projektowych widać więc plany budowy urządzeń hydrotechnicznych na Białce, Popradzie, Czarnym i Białym Dunajcu. Co więcej, główny projektant inż. Błyskowski zapewnia, że wykorzystać można nawet strumienie, nad którymi mogą powstać małe elektrownie, zasilające w energię kilka wsi, spółdzielnie produkcyjne czy PGR-y.

Ale najważniejsza, a zarazem najtrudniejsza zarówno dla projektantów, jak i wykonawców część szturmu na Dunajec — to budowa zapory w rejonie Piecin. Wielka zapora spiętrzy wartkie wody górskiej rzeki i utworzy ogromny zbiornik wodny — piękne górskie jezioro. Instytut Rybołówstwa Śródlądowego pracuje już nad sprawą zarybienia Dunajca, zapewne więc nie zapomni o jeziorze. Poza tym takie górskie jezioro to wymarzone miejsce do sportów wodnych. Dotychczas atrakcją okolic Czorsztyna był malowniczy przełom Dunajca, odwiedzany co roku przez tysiące turystów. Teraz oprócz przełomu będzie piękne jezioro. Warto zawczasu szykować kajak lub żaglówkę.

DWA WARIANTY „CZORSZTYNA”

Przy zaporze stanie duża siłownia. Tu będzie wytwarzana energia elektryczna. Ale nie tylko tu. Projekt jest opracowany przez inżynierów korzystających w pełni z doświadczeń radzieckiego budownictwa wodnego. Nic więc dziwnego, że jest śmiały i pomysłowy. Trzeba wykorzystać wielkie łuki, jakie rzeka zatacza zaraz za Czorsztynem. Łuki zostaną przecięte. Woda popłynie skróconą drogą, a więc spadek będzie większy. Bez tworzenia nowych zapór będzie można wykorzystać siły białego węgla przez wybudowanie dwóch siłowni.

Oto szkic projektu. Ale to tylko szkic i w dodatku pobieżny. W rzeczywistości projekt jest znacznie bardziej skomplikowany. Dobro budowy wymaga opracowania najlepszego projektu. Powstają więc rozmaite pomysły, warianty, które trzeba przepracować, porównać i najczęściej... odrzucić. Oczywiście z wyjątkiem jednego, tego najlepszego. Obecnie projektanci badają dwa warianty „Czorsztyna”.



Brama wjazdowa do Zamku, w którym więziono ongi legendarnego Janosika.

na”. O wyborze jednego z nich zadecydują korzyści ekonomiczne, a więc koszt inwestycji i jej opłacalność, warunki organizacji prac budowlanych, ochrona zabytków i przyrody, a przede wszystkim warunki geologiczne.

Zapora musi stanąć przecież na zupełnie pewnym gruncie. Wielkie budowle w naszym kraju są tworzone nie na kilka lat, lecz dla wielu pokoleń. Tymczasem w historii budownictwa wodnego znane są fakty katastrof urządzeń hydroenergetycznych, jak np. zapory Saint Francis w stanie Kalifornia w USA. Budowano także zapory, które nie zatrzymywały ani metra sześciennego wody, ponieważ uciekała ona licznymi szczelinami w dnie.

Charakterystyczne jest, że wypadki zniszczenia zapór zdarzają się jedynie w krajach kapitalistycznych. Świadczy to o tym, jak nieodpowiedzialnie podchodzą burżuazyjni geolodzy i hydrotechnicy do swoich obowiązków. Tymczasem w Związku Radzieckim, mimo olbrzymiego tempa budownictwa hydrotechnicznego, nie zanotowano żadnej katastrofy zapory.

Nasi geolodzy starają się dorównać doświadczonym radzieckim kolegom. Nie szczędzą wysiłków, by ich wkład pracy, wkład do budowy zapory na Dunajcu — jednego z pierwszych etapów przeobrażenia przyrody rzek — był proporcjonalny do wielkości dzieła. Pracują więc fachowcy z Instytutu Geologicznego. Budują szurfy, tzn. rowy geologiczne, z których wyczytują układ skał. Badają odkrywkami, obserwują prace punktów wiertniczych, myślą o sztolniach. Są nawet i dalsze projekty — nawiązano już kontakt z prof. Cebertowiczem w celu ewentualnego przeprowadzenia elektropetryfikacji, tzn. zabiegu uszczelniającego dno koryta rzeki.

DLA CZŁOWIEKA I PIĘKNA

Ujarzmienie Dunajca przyniesie w konsekwencji poważne korzyści gospodarce narodowej. Przede wszystkim raz na zawsze zniknie groźba powodzi. Wy-



Zamek w Niedzicy, pobudowany przeszło 600 lat temu, odnowiony ostatnio, jest obok zamku w Czorsztynie główną atrakcją turystyczną przełomu Dunajca.

zyskana będzie energia elektryczna, a ponadto budowa zbiorników na rzece wpłynie na regulowanie stanu wody na Wiśle, co umożliwi pełniejszy niż dotychczas rozwój żeglugi.

A mieszkańcy okolicy? Jakie korzyści im przyniesie budowa systemu hydrotechnicznego Dunajca?

Ludność okolic, która dotychczas żyła w dużym stopniu z wynajmu mieszkań i żywienia turystów, znajdzie przede wszystkim pracę przy budowie zapory, siłowni, sztucznych jezior i olbrzymiej wytwórni betonu produkującej wyłącznie dla systemu hydroenergetycznego. Poprawi się również komunikacja — powstanie linia kolejowa, szosy.

Możemy zadać sobie jeszcze pytanie, czy budowa zapory i zbiornika w sercu Pienin nie zniszczy piękna krajobrazu, czy nie zanikną istniejące w tych okolicach zabytki. Z całą pewnością możemy odpowiedzieć — nie.

Będzie tu jeszcze piękniej niż obecnie. Będzie górskie jezioro. A w przełomie, mimo sklerowania głównego nurtu rzeki krótszą drogą, woda nie wyschnie. Projektanci postanowili w tym tylko celu zbudować specjalne małe zbiorniki wody przeznaczone dla utrzymania wody na Dunajcu.

Piękna jest okolica Czorsztyna. Wznoszą się tu dumnie ponad okoliczne doliny dwa zamki: czorsztyński i niedzicki. Tak jak obecnie przegładają się w tafli rwącej, górskiej rzeki — za kilka lat będą się odbijać w zwierciadle nowopowstałego jeziora. Ziemie, pamiętające Kostkę Napierskiego, wzbogacą swoją historię wspinałym czynem wolnego człowieka budującego dla siebie lepszą przyszłość.

ANDRZEJ DOBRZYŃSKI

Zdjęcia z doliny Dunajca i zamku w Niedzicy wykonał MAREK SZWEDO, a nadesłał je do redakcji nasz korespondent, Franciszek Szyniak.



Zamek w Niedzicy zwiedziło ponad sto tysięcy chłopów i robotników.



Z tarasu zamkowego rozciąga się widok na dolinę Dunajca, która w niedalekiej już przyszłości stanie się jeziorem. W tym jeziorze przegładac się będą mury dwóch starych zamków: czorsztyńskiego i niedzickiego, zwanego niegdyś zamkiem Dunajec.

nasí fotokorespondenci donoszą

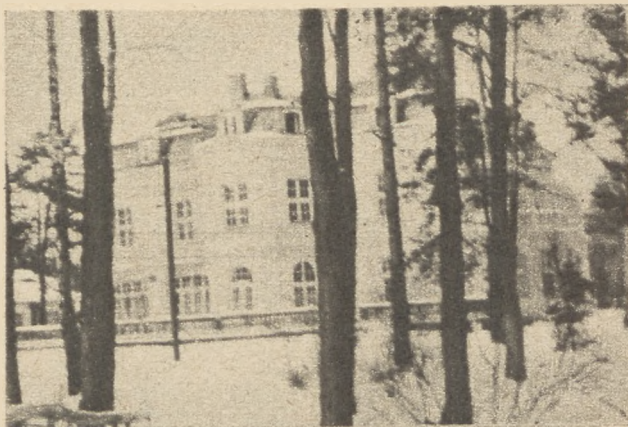
SZPITAL CHIRURGII KOSTNEJ

Willa ta przed wojną służyła jako letni dom wypoczynkowy dla „pań” i dla „panów” z Warszawy, którzy przyjeżdżali do Konstancina dla odpoczynku po „ciężkiej pracy” przy brydżu. Zresztą zasiadali zwykle znów do brydża, tym razem jednak na świeżym powietrzu. Dzisiaj w willi tej znalazł pomieszczenie oddział dla dorosłych Miejskiego Szpitala Chirurgii Kostnej, znajdującego się pod stałą opieką słynnego lekarza, prof. Gruca. Oczywiście willę, dostosowując ją do nowych potrzeb, gruntownie przebudowano i zaopatrzone w najnowocześniejsze urządzenia szpitalne, jak lampy bieżniowe, czeski aparat do narokozu i specjalny stół operacyjny, pozwalający na najbardziej skomplikowane operacje kostne.

Z innych urządzeń zwraca uwagę basen do ćwiczeń podwodnych, do którego chorzy zjeżdżają windą. Pod wodą chorzy o wiele łatwiej poruszają się kończynami i w ten sposób powoli odzyskują ich sprawność. Ćwiczenia w wodzie są ćwiczeniami wstępnymi przed ćwiczeniami normalnymi na powietrzu lub w sali.

Do bardzo pomysłowych należy również instalacja alarmowa. Pielęgniarka czy siostra nie może wyłączyć wzywającego ją sygnału, o ile nie wejdzie na salę, z której ją wzywają.

Na każdej sali znajduje się głośnik radiowy, służący do odbioru nie tylko audycji Pol-



skiego Radia, ale również audycji z miejscowego radiowęzła, który obsługuje sami chorzy. Dyrekcja szpitala stara się zresztą o jak najszersze wprowadzenie terapii zajęciowej. Chorzy zmuszeni po operacjach do zmiany warstwu pracy, uczą się nowych zawodów i już w czasie nauki należą do Spółdzielni Inwalidzkiej wykonując dla niej koszyki wiklinowe, tulejki do świec, szalik i t.p. Chorzy uczą się i trudniejszych zawodów, na przykład Wiesław Kozicki stał się doskonałym zegarmistrzem.

Na przeszkodzie dalszemu rozwojowi szpitala stoi brak lokalu. Obok znajduje się willa „Irena”, zajęta przez spółdzielnię dzielną. Willę tę przydzielił szpitalowi Woje-

wódzka Komenda Lokalowa i Państwowa Komisja Lokalu, ale Prezydent Miejskiej Rady Narodowej w Skolimowie nie umie czy nie chce znaleźć dla dziewczyny lokalu zastępczego. Willa „Irena” byłaby przez szpital przeznaczona właśnie na terapię zajęciową, z warsztatami tkackimi, szewskimi, z maszynami



Wiesław Kozicki reperuje zegarki.

krawieckimi i innymi warsztatami rzemieślniczymi. Opieszałość MRN w Skolimowie opóźnia nie tylko leczenie, ale również starania szpitala o to, aby jego pacjenci po wyleczeniu nie byli ciężarem Państwa, ale aby sami potrafili zarobić na swe utrzymanie. Sprawa willi „Irena” powinna więc być załatwiona jak najszybciej.

Antoni Wilk, Konstancin

ZWIEDZAJMY RÓWNIEŻ WILANÓW



Król w dawnej Rzeczypospolitej szlacheckiej nie miał zamieszkania poza nabywanymi dobrami ziemskimi. Aby obejść ten przepis, Jan III Sobieski o kupno włości wilanowskich poprosił swego przyjaciela, Marka Małczyńskiego. Było trochę z tego powodu sądek na sejmie warszawskim w roku 1683, ale król postawił na swoim, posiadał stary dwór, który architekt Augustyn Locci, Polak z włoskiej rodziny, zaczął przebudowywać we wspaniałą rezydencję.

Budowa pałacu wilanowskiego przypadła na okres

pełnego rozkwitu architektury barokowej, nacechowanej wielkim bogactwem ornamentów, mnogością rzeźb i malowideł ściennych, szczególnie na sufitach (są to tzw. plafony). Jeszcze teraz, zwiedzając Wilanów, podziwiać możemy tak typowe dla baroku rzeźby i płaskorzeźby na ścianach zewnętrznych, ale i wewnątrz po uzupełnieniu braków spowodowanych wojną może zachwyć największego znawcę stylu barokowego. Z plafonów do najciekawszych zalicza się Flore w otoczeniu wiatrów, z fresków „Historie Psyche”, panny wiek nadobnej”, znajdującą się w prawej galerii. Król Jan III oprowadzał go do pałacu gości, chętnie im tę historię opowiadał.

Wilanów jest dziś ośrodkiem naukowo-muzealnym, administrowanym przez Muzeum Narodowe w Warszawie. Ono to doprowadziło do porządku i urządziło w nim stałą wystawę portretów polskich. W pałacu wilanowskim mieści się również w dawnej oranżerii stała wystawa archeologiczna, uruchomiona przez Państwowe Muzeum Archeologiczne.

Pałac wilanowski przechodził różne koleje. Już po śmierci króla Jana spadkobiercy sprzedali go magnackiej rodzinie Sieniawskich. Później posiadają go Czarto-

rzy, Lubomirscy i w końcu Potoccy. Stanisław Kostka Potocki architektowi Piotrowi Aignerowi powierzył przeróbkę w stylu klasycystycznym. Jednocześnie park wilanowski przekształcono wtedy w park angielski.

Dalšie przeróbki projektowali hitlerowcy, którzy chcieli Wilanów przerobić na... kasyno. Przeszkodziła im jednakże ofensywa wojsk radzieckich.



PAŃSTWOWE OGNISKO PLASTYCZNE W RADOMIU



Przy zajęciach w pracowni rzeźbiarskiej.

Rolę ogniska plastycznego w Radomiu przez kilka lat pełniła „Wolna Szkoła Rysunku, Malarstwa i Rzeźby”, założona w roku 1945 przez artystę malarza Wacława Dobrowolskiego. Od dwu lat jest już ona upaństwowiona i służy ludzom pracy, którzy po południu pobierają w niej na-

ukę kształcić się w rysunku, malarstwie, rzeźbie, literaturze, scenografii, technologii i papieroplastyce. W ognisku wykłada się również wiedza o sztuce, kulturze i realizmie socjalistycznym. Po ukończeniu II kursu zdolniejsi wychowankowie Ogniska udają się często na studia wyższe.

W lokalu Ogniska mieści się świetlica, w której raz na tydzień odbywają się „Czwartkowe wieczory świetlicowe”, poświęcone odczytom i dyskusji oraz występom wokalistycznym. Uczestnicy Ogniska współpracują również z licznymi organizacjami społecznymi Radomia, łącząc się w grupy dla wykonywania pilnych prac dekoracyjnych.

Lokal Ogniska, wskutek stałego wzrostu liczby słuchaczy, z roku na rok staje się ciasniejszy. Z tego więc powodu kierownictwo Ogniska zgłosiło wniosek o wybudowanie specjalnego budynku. Prezydium MRN w Radomiu przychyliło się do tego wniosku i uchwaliło kredyty na budowę domu, który będzie mieścił oprócz Ogniska plastycznego również szkołę muzyczną.

Ada Majewska, Radom
Zdjęcia: Michał Włodarkiewicz

WIELKOPOLSCY MICZURINOWCY

Ruch miczurinowski w Wielkopolsce zatacza coraz szersze kręgi. W spółdzielniach produkcyjnych i gromadach indywidualnych powstają kółka miczurinowskie, których województwo poznańskie ma już ponad 80.

Przodującymi miczurinowcami wielkopolskimi są: Edmund Ratajczak z Rabczyna (pow. Wągrowiec) i Władysław Dudziński z Nietadkowa (pow. Kościan).

KATOWICE CORAZ PIĘKNIJSZE

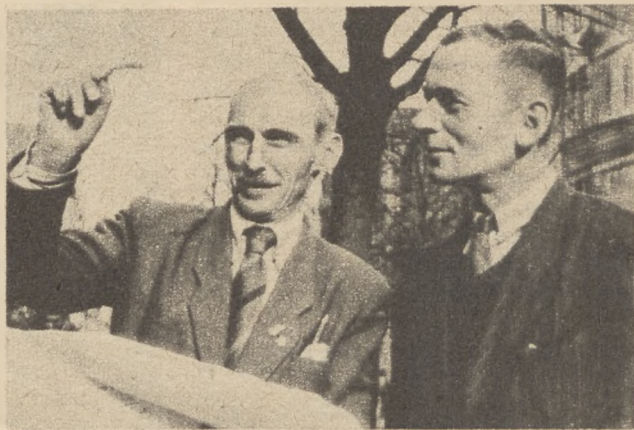
Jesienią Plac im. Feliksa Dzierżyńskiego założono płytami, po bokach postawiono piękne latarnie. Z wiosną rozpoczyna się tu nowe prace nad wykończeniem fontann. Plac im. Dzierżyńskiego, położony tuż przed siedzibą Wojewódzkiej Rady Narodowej, będzie należał do najokazalszych zakątków miasta.

Tadeusz Rzepkiewicz, Katowice

Edmund Ratajczak poświęcił się uprawie buraka cukrowego i jest w tej dziedzinie rekordzistą. Osiągnął bowiem 640 kwintali buraka z 1 ha, bijąc tym samym rekord Stanisława Mazura. Na polu doświadczenia osiągnął Ratajczak jeszcze więcej, bo 1.040 kwintali z ha.

Wład. Dudziński poświęcił się krzyżowaniu roślin. Nowe wyhodowane przez niego gatunki lepiej znoszą nasze warunki klimatyczne.

Irena Podolak-Ciesielska, Poznań



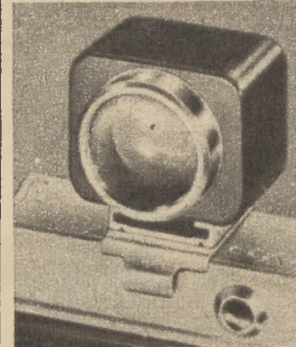
FOTOGRAFIA NA CODZIEN

NOWOŚCI FOTOGRAFICZNE

Ostatnie lata przyniosły dość dużo wynalazków i ulepszeń w dziedzinie fotografii. Mały nowe modele aparatów, wielokrotne lampy błyskowe, „Błękitne obiektywy” i nową konstrukcję lustra, połączonego z pryzmatem w aparatach „Contax” i „Exakta-Warex”.

Pod koniec ub. roku prasa zagraniczna doniosła o dwóch innych nowościach z dziedziny techniki fotograficznej i chemii. Znana wytwórnia niemiecka Voigtlander rozpoczęła produkcję nowych celowników lunetkowych do aparatów fotograficznych. Celowniki te, nazwane „fizjologicznymi”, zasadami konstrukcyjnymi znacznie odbiegają od dotychczasowych systemów. Pozwalają one bowiem podczas wykonywania zdjęć na spoglądanie obydwojema oczami. Jednym okiem patrzy się na otoczenie normalnie, drugim widzi się przez celownik jasną i wyraźną ramkę, ograniczającą pole fotografowanego obrazu.

Otoczenie i fotografowany obraz widzimy ostro i wyraźnie w naturalnej wielkości, ramka zaś, widoczna przez celownik, pozwala nam uchwycić odpowiedni moment nawet w wypadku fotografowania szybko poruszających się obiektów, podobnie jak przy specjalnym celowniku sportowym typu „Albada”.



Celownik f-my Voigtlander posiada zabezpieczenie od dwuwzględności (paralakty), gdyż inna ramka wskazuje pole obrazu przy nastawieniu na „niekończoność”, a inna — przy odległości 1 m. Pośrodku obrazu celownika ma oznaczony jasny punkt, pomagający ustalić ściśle środek motywu.

Nowe celowniki firma Voigtlander produkuje do aparatów z negatywami 24 x 36 mm, 6 x 6 cm oraz 6 x 9 cm. Reprodukujemy fotografię tego celownika, załóżonego na aparat „Bessa” Voigtlandera. Średnica soczewki celownika wynosi 22 mm.

Po doświadczeniach, prowadzonych od 25 lat, fińska fabryka produktów chemicznych, Kaarlo Hayren, zademonstrowała w Helsinkach nowy wytwórca, badany szrupulnie przez specjalistów chemików i fotografów. Wynalasca udowodnił, iż przy użyciu jego wywoływacza 30-krotne niedoświetlenie nie ma wpływu na jakość negatywu, teoretycznie dopuszczalne jest nawet niedoświetlenie stu-krotne w porównaniu z właściwym czasem naświetlania, jednakże wówczas opracowanie partii obrazu, zawierających delikatne półtony, nie daje zadowalających wyników.

Wywoływaczem tym powinny zainteresować się również nasze wytwórnie fotochemiczne.

HISTORIA JEDNEJ KSIĄŻKI

WYDANIE 1914

WYDANIE 1926

STANISŁAW R. DOBROWOLSKI

Sławię Cię, ziemio

Ziemio, ziemio moja ojczysta,
ziemio polska, ziemio rozległa
— od nadbrzańskich zielonych
pastwisk, od leśnych strumieni
Augustowa i Białowieży,
od zagród rybactwa u zatok
bełkowiwej toni Bałtyku
po chmurne niebo zagłębi,
płonące po nocach łunami
kuźnic ludowej potęgi,
po Nysie Łużycką i Odrę,
po skalne ściany pod śniegiem,
po wichru halnego gazdostwo
— sławię cię, ziemio, jak umiem!

Ziemio moja, ziemio odwieczna,
ziemio, którą ukochał
Jan z Czarnolasu, fundator
mowy twoich poetów —
jak wszyscyśmy dzisiaj gotowych
życie oddać za jedno
najdroższe jej słowo: swoboda.
Ziemio, po której chodzili
Mikołaj Kopernik z Torunia,
co na niebie nauki
oświeca światłem umysłu
wyższego od kopuły Piotra,
Mickiewicz z wieszczów największy
i Fryderyk Chopin, artysta
— ziemio, ziemio ojczysta,
sławię cię, ziemio, jak umiem!

Ciebie, która mnie kiedyś
przyjmiesz w otwarte ramiona,
ziemio, ziemio rodzinna,
któraś w siebie wgarnęła
kości pokoleń Polaków
szepem ostatnim sławiących
słońce nad miedzą domową,
któraś w siebie wsaczyła
krew Jasińskiego Jakuba,
krew Godebskiego Cypriana,
Ściegiennego i Dembowskiego,
którego rękę ścisnąłem
tą samą ręką, co dzisiaj
wiedzie piórem wolnego poety
— i ja cię sławię, jak umiem!

Morzem sinym szumiącą,
zbożem jarym pachnącą,
ulami dzwoniącą i miotem,
płynącą mlekiem i miodem,
nadgoplańska najstarsza,
nadwiślańska najbliższa,
sławię cię za to, żeś z siebie
wydała nowego człowieka —
ujarzmiciela twojego
bez wilczych kłów i pazurów.
ziemio nasza, ziemio łaskawa,
jak litym pasem weselnym
opasana granicą braterstwa,
ziemio nowa pod niebem nowym!

Doświadczenia

1.
Jej serce — otwarty tom,
gdzie co karta, to słowo: miłość.
Jej dłonie — przytulny dom,
o którym serce śniło.

Jej usta jak płatki róż,
na których drżą słowa wierszy,
jej oczy — głębiny mórz,
gdzie budzi się dzień jutrzejszy.

2.
O zmierzchu śpiewna gwiazda,
wiatr nad Wisłą o świecie —
rozpłasniona i jasna.
Bez niej mroczne jest życie.

Chmurne jak dzień deszczowy,
ciemne jak pusta piwnica —
o losie, strzeż nasze głowy
przed nocą bez gwiazd i księżycy.

3.
O rozpylone słońce!
— dmuchawiec trącony w trawie,
jabłko za płotem pachnące,
drażniące przechodnia powabem.

Sny, które oddech zwiewa,
miód i piódun wszystkiego
— owoc skradziony z drzewa
poznania dobrego i złego!

4.
Błysk płomyka nad świecą
— obłęd motyli,
roztrzępotane byle co
w pożarze chwili.

Cień nad stołem rozpięty,
serca skrócone bicia,
krew na wardze rozciętej:
słony smak życia.

85
dać w ręce władzy, jako żeś szkodliwy
dla społeczeństwa i dla powagi Ko-
ścioła...

Stało się cicho, jak w krypcie, gdzie
umarli leżą — na sekundę — bo w tej
chwili wybuchnął młody, gorący, egzal-
towany głos Brzózki.

— Wydać nas, księże Biskupie! Z po-
sterunku mego nie zejść. Oni też.
I wskazał wychudłą ręką garstkę swo-
ich żołnierzy.

Biskup mimowoli poszedł za kierun-
kiem jego gestu. Przypomniał sobie, że
Zięba sprezentował broń, gdy on wszedł,
więc do niego pierwszego przemówił.
— Ty nie pójdziesz, wierny synu Ko-
ścioła, za księdzem, którego wyrzucam
ze społeczności kościelnej. Od dziś nie
ma już prawa ksiądz Brzózka ani sakra-
mentów udzielać, ani odprawiać mszy.
Suspensa ad beneplacitum suum. Jako
katolik prawowierny nie możesz trwać
u boku tego jawnogrzeszniaka. I wy ró-

86
wnieź, braciszku, którzyście dość
zgrzeszyli, opuszczając zakon, ale któ-
rym wyrobicie zinniejsze pokuty klasz-
tornej, skoro tu zostaniecie. Jako biskup
nakazuję wam to. A reszta was, mam na-
dzieję, również da pokój, choćby w imię
zdrowego rozsądku, głupim, szubackim
porwytem — i, złożwszy broń, pójdzie,
skąd przyszedł. Wszystkim czynną po-
moc obiecuję. Polskę zaprzeczaliście
sami. Niema już Polski.

— Czy mogę odpowiedzieć imieniem
naszym? — wysunął się Tournelle z sze-
regu.

Zięba wyciągnął machinalnie ramię,
jakby się bał, że stanie się za chwilę coś,
czego żadną miarą uczucie jego kato-
lickie dopuścić nie mogło. Ale biskup
skinął zezwalająco głową:

— Proszę cię, synu, odpowiedź!
Wówczas Tournelle trzasnął pała-
szem o podłogę i rzekł głośno, krótko,
dobitnie:

87
— Hańba tobie, polski biskupie!
— Tfu! — splunął Zubowicz, w tym
klasztorze po raz wtóry.

Oczy biskupa nabiegły krwią i stały
się, jak dwa rubiny. Jeszcze raz jednak
zwrócił je na Ziębę:

— A ty? czy ten cham i w twoim
imieniu odpowiedział?

— ...i w moim — rzekł przedko stary
kosynjer, rzucając karabin w ką.

Brzózka podniósł się na łokciach.
Krwawe wypieki wystąpiły na jego po-
liczki. Żrenice rozgorzały, a z ust spierz-
chłych zaczęły padać gromkie słowa,
jak gdyby komendy wojskowej.

— Kłamstwo ci zarzucam, przyjacie-
lu księcia Paskiewicza! Wobec tych
wszystkich, których namawiałeś do od-
stępstwa i zdrady, kłamstwo ci zarzu-
cam! Polska jest — większa i świętsza,
bo przez próbę ognia przeszła — przez
próbę waszych zdradzieckich rąk! Pol-
ska jest, ale obys ty był ostatnim podla-

88
skim biskupem i oby zniesiono tu nawet
twój zakon, po wieki.

Drodzy! powtórzcie za mną temu re-
negatowi w twarz: „Niech żyje Ojczy-
zna!”

— Niech żyje Ojczyzna! — powtó-
rzyli echem tamci skwapliwymi, zapa-
trzeni znowu w swój buńczuczny sen,
który im na chwilę przerwano.

Wróć na łono Matki-Kościola, odpraw po-
kutę kościelną, odeślij do domu tych obala-
mionych przez ciebie! Wplywami mojemu wy-
robię to, że przewiozą cię wprost stąd przez
granicę pruską, ale wyrzeknij się uporu — wy-
zuj obłądu!

Stało się cicho, jak w krypcie, gdzie
umarli leżą — na sekundę — bo w tej chwili wy-
buchnął młody, gorący, egzaltowany głos Brzózki.

— Wydać nas, księże Biskupie! Z poste-
runku mego nie zejść. Oni też.

I wskazał wychudłą ręką garstkę swoich
żołnierzy.

Biskup mimowoli poszedł za kierunkiem
jego gestu.

— Czy mogę odpowiedzieć imieniem na-
szym? — wysunął się Tournelle z szeregu.

Zięba wyciągnął machinalnie ramię, jakby
się bał, że stanie się za chwilę coś, czego żadną
miarą uczucie jego katolickie dopuścić nie
mogło. Ale biskup skinął zezwalająco głową:

— Proszę cię, synu, odpowiedź!
Wówczas Tournelle trzasnął pałaszem o po-
dłogę i rzekł głośno, krótko, dobitnie:

— Idzienty z naszym dowódcą, Księżę bi-
skupie!

— Tfu! — splunął Zubowicz, w tym klasz-
torze po raz wtóry.

Oczy biskupa nabiegły krwią i stały się,
jak dwa rubiny. Jeszcze raz jednak zwrócił je
na Ziębę:

— A ty? czy ten cham i w twoim imie-
niu odpowiedział?

— ...i w moim — rzekł przedko stary ko-
synjer, zniżając sprezentowany karabin.

Brzózka podniósł się na łokciach. Krwawe
wypieki wystąpiły na jego policzki. Żrenice roz-
gorzały, a z ust spierzchłych zaczęły padać grom-
kie słowa, jak gdyby komendy wojskowej:

— Drodzy! powtórzcie za mną temu renega-
towi w twarz: „Niech żyje Ojczyzna!”

— Niech żyje Ojczyzna! — powtórzyli
echem tamci skwapliwymi, zapatrzeni znowu
w swój buńczuczny sen, który im na chwilę
przerwano.

MARYA-JEHANNE HR. WIELOPOLSKA

KRYJAKI

O SZESZCZDZIESIĄT TRZECIM ROKU OPOWIEŚĆ
Z PRZEDMOWĄ STEFANA ŻEROMSKIEGO

KRAKÓW WARSZAWA POZNAN

Strona tytułowa
wydanie z roku 1914

MARYA-JEHANNE HR. WIELOPOLSKA
(Walewska)

KRYJAKI

O SZESZCZDZIESIĄT TRZECIM ROKU OPOWIEŚĆ
Z PRZEDMOWĄ STEFANA ŻEROMSKIEGO

Wielka Polska z tego, co nazywają
tutaj grobem — ja wiem, że to "Wojna"
kościół.

Wydanie

Pamiętaj ten znak!

NAKŁADEM „BIBLIOTEKI GROSZOWEJ”
Warszawa, Moniuszki 11. Tel. 190-91

Strona tytułowa
wydanie z roku 1926

Książki mają swe własne dzieje. Oto histo-
ria jednej z nich. I to bardzo wymowna.
W r. 1913, w związku z 50 rocznicą wybuchu
powstania styczniowego, Maria Jehanne-
Wielopolska napisała książkę p.t. „Kryjaki”.
Dramatyczne dzieje ks. Stanisława Brzózki,
dowódcy ostatniej „partii” powstańczej, któ-
ry zginął na szubienicy w kwietniu 1865 roku,
poprzedzone zostały przedmową Stefana Że-
romskiego. Książka ukazała się w r. 1914.

Po pierwszej wojnie światowej książka zo-
stała wznowiona. Wydanie z r. 1926 uległo
jednak drobnemu, ale jakże charakterystycz-
nemu retuszowi. Właśnie ten retusz jest te-
matem niniejszej opowieści. — Dalszy jej ciąg
odnajdzie Czytelnik w zestawieniu końcowych
stron: rozdziału II. Dodamy tylko dla wy-
jaśnienia, że toczy się na nich rozmowa mię-
dzy ks. biskupem podlaskim, Pawłem Piotrem
Beniaminem Szymańskim, a ks. Brzózka i je-
go towarzyszymi broni. Reszta nie wymaga
komentarzy.



Bohater „Kryjaków”
ks. Stanisław Brzózka

NA ŚNIEŻNYCH TRASACH



LZS-Mielno z woj. koszalińskiego — jedna spośród blisko 50 drużyn Ludowych Zespołów Sportowych na drodze do Koniakowa, najwyżej położonej wsi beskidzkiej



— Za wasz piękny prezent serdecznie dziękujemy. Życzymy wam wiele radości i najlepszych wyników. — Uczniowie szkoły w Istebnej żegnają drużynę „Stali”

REKORDOWY UDZIAŁ RAIDOWCÓW...

Zdjęcia: K. JAROCHOWSKI



Raid był wielką atrakcją dla ludności Małego, Wysokiego i Śląskiego Beskidu. Wszędzie, na wszystkich trasach liczących łącznie ponad 2.300 km, cieszył się zrozumiałym zainteresowaniem. — Żyję już dość długo — zwierza się istebniański góral, dziewięćdziesięcioletni Jan Wawracz — widziałem w życiu niemało, ale tylu narciarzy na raz widzę po raz pierwszy.



Warto było własną „Dekawką” wyrwać się w niedzielę do Wisły z pobliskiego Śląska, by zobaczyć tę największą w historii sportu, poza Związkiem Radzieckim, narciarską imprezę. Przewodnik pracy Surma, z kopalni „Brzeszcze” w rozmowie z uczestnikiem Raidu.



Czas w drogę. Ostatnia kontrola sprzętu i ekwipunku. Drużyna lekarzy z Państwowego Sanatorium Dziecięcego „Kuźnice” w Zakopanem rusza na szlak.



Tu zreperowano motor, tam zelektryfikowano szkołę, gdzie indziej drużyna dentystów przebadła zęby miejscowej ludności. Czyn społeczny drużyny, to pomoc udzielona chłopom.



Zdarzały się i takie wypadki. Ten skończył się tylko... strachem. Nad bezpieczeństwem uczestników Raidu czuwały drużyny Tatrzańskiego Ochotniczego Pogotowia Ratunkowego, utrzymujące przez pełne 4 doby stałą łączność telefoniczną z 34 punktami etapowymi, przelotowymi oraz z kierownictwem Raidu.



Narciarze-turyści pokonują „schoakowaniem” trudny odcinek jednej z 29 tras. Podzielono je na cztery kategorie: dla dorosłych (cięższe i lżejsze), dla dorastającej młodzieży męskiej (cięższe) oraz dla młodzieży żeńskiej i męskiej (lżejsze).



— Nie pobiłdziliśmy! — kontrolują trasę turyści-narciarze. Każdy z nich ma w kieszeni specjalny, z okazji Raidu, wydany przewodnik, w którym szczegółowo opisane są wszystkie etapy wszystkich tras. Przewodnik oraz troskliwie i dokładnie znakowane szlaki Raidu sprawiły, że wypadki pobiłdzenia należały do rzadkości



Wiceminister Obrony Narodowej, generał broni Stanisław Popławski, wręcza dyplom czołowej naszej narciarce, olimpijce Barbarze Grocholskiej.

...I REKORDY SPARTAKIADY

TWARDY, rytmiczny krok na udeptanym śniegu. Zbliżają się koturny sportowców. Wszystkie twarze zwrócone są ku trybunie honorowej. Wiceminister Obrony Narodowej, generał broni Stanisław Popławski, przyjmuje defiladę żołnierzy - sportowców Wojska Polskiego. Wysoko na maszcie powiewa flaga narodowa. Śnieg skrzy się w słońcu. Chrzest kroków rozciąga się w grzmocie oklasków.

Spartakiada WP na rok 1953 otwarta.

Już w kilkanaście minut później wyruszyli patroli narciarskie. W białych kombinezonach, z karabinami przewieszonymi przez plecy, mijają linie startu zespoły reprezentacyjne Okręgów Wojskowych, Wojsk Lotniczych i Marynarki Wojennej. Sumą trasą pod regłami. Do mety... 30 kilometrów, a na półmetku strzelanie. Cały przebieg walki na trasie obserwujemy na specjalnej makięcie, gdzie figurki narciarzy wyobrażają patroli. Figurki poruszane są zgodnie z meldunkami z trasy, podawanymi przez żołnierzy służby łączności... Na półmetku zebrała się duża grupa obserwatorów. Zbliżył się zespół OW Kraków pod dowództwem oficera Zięby. Padają na śnieg. Serie strzałów rozrywają powietrze. Znikają trafione szkartatne bałoniki. Teraz biegacze wzmacniają tempo. Każdy krok przybliża ich do celu.

Samochody mijają z Gronitka pod Krokiew. Trybuny wypełnione. Wszystkie głowy zadarte do góry. Z progu występuje sylwetka skoczka. Za nią druga, trzecia... Entuzjastyczne brawa nagradzają jeszcze jedno zwycięstwo Staszka Marusarza.

Wielobój oficerek to trudna konkurencja, bo wymaga wielkiej wszechstronności. Najpierw oficerowie strzelają do tarczy, a wieczorem znów ci sami ćwiczą na sali gimnastycznej. Następnego dnia rano, z przygotowanymi do butów nartami wyruszają do biegu na 10-kilometrowym szlaku. Oficer Bagła-

jewski po raz drugi zwyciężył, gdyż jest równie dobrym strzelcem, jak gimnastykiem i narciarzem.

Ośmieszona granie i szczyty zalane słońcem. Mróz. Wystartowali zjazdowcy. Ostatni odcinek trasy FIS II — to cienista przecinka leśna. Jak czarne pociski przelatują nią narciarze w tumanach śnieżnego pyłu. Słychać przyśpieszony oddech. Ostatnie muldy przed metą i... hop! Stoper zatrzymany. Ciąptak Gąsienica Mistrzem WP.

Dni Spartakiady to dni nie kończących się wrażeń i emocji sportowych.

Tor lodowy lśni. Zza wysokiego nasypu śnieżnego występuje pochylona postać. Wpada na prostą; ręce jak wahadła wybijają pośpieszny takt. Kilka długich, mocnych odepchnięć noży lyż i znów krzyżowna... bierze ją mocnym przechytem ciała. Trybuny rozbrzmiewają oklaskami. 17-letnia Renata Baudouin w biegu na 550 metrów osiągnęła doskonały czas — 54,4. Wynik lepszy od dotychczasowego rekordu Polski. Emocje nie kończą się. Każdy następny bieg to nowy rekord. W sumie — 9 wyników lepszych od rekordów Polski, 13 nowych WP, a z t.zw. rekordów życiowych — prawie tyle, ilu startowało zawodników.

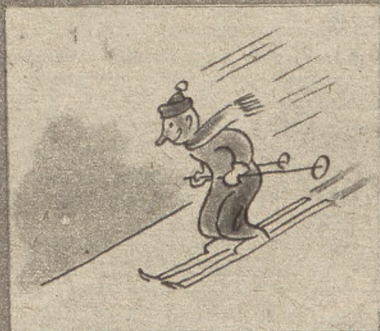
Tym razem przenosimy się na trasę biegu płaskiego na 18 km. Zaciętą walkę stoczyli Karpel z Rubisiem. Józek Krzeptowski pogodził ich, osiągając najlepszy czas na tym dystansie i tytuł Mistrza WP.

Do punktacji zespołowej Zimowej Spartakiady poza wielobojem i biegiem patrolowym zaliczony jest hokej na lodzie. Po pięciodniowych twardej walkach tytuł Mistrza WP zdobyła drużyna OW Kraków.

Pierwszy etap Spartakiady WP żołnierze-sportowcy zakończyli zwycięsko. Walczyli ambitnie, odważnie, koleżeńsko, pozwalając ocenić widzowi wspaniały rozwój sportu, który jest nieodzownym elementem wyszkolenia żołnierza.

KRYSTYNA WOLSKA
Fot: WAF

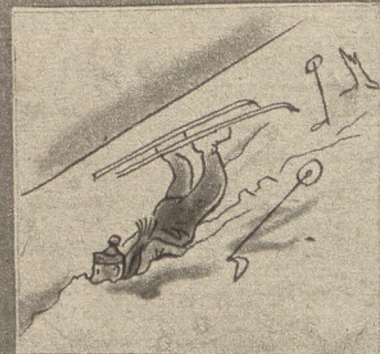
KRÓTKA, ALE POUCAJĄCA LEKCJA DLA LEKKODUCHÓW



ZJAZD



JODELKA

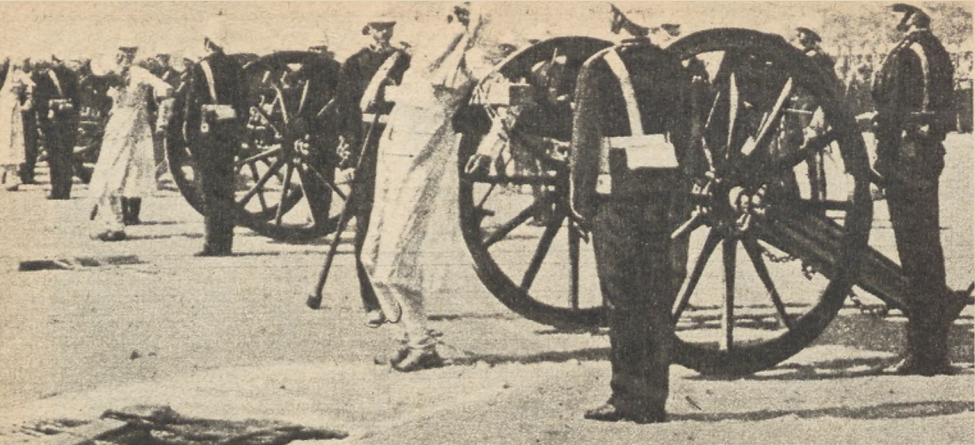


PLUG



SCHODKOWANIE

Rys. Jantar



Obraz rosyjskiego malarza, Wasya Wiereschagina, przedstawiający Anglików we wstrząsającej scenie rozstrzeliwania z armat zbuntowanych sepojów.

O INDIACH PRZED STU LATY

BYŁO to w okresie wiedeńskiego Kongresu Narodów w Obronie Pokoju. Zainteresowało mnie wystąpienie przewodniczącego delegacji hinduskiej, Saifuddina Kiczlu, polityka z burżuazyjnej partii „kongresowej” w Indiach, który stoi na czele ruchu obrońców pokoju w tym kraju. Po kilku dniach dowiedziałem się, że Kiczlu odznaczony został Stalinowską Nagrodą Pokoju. Zaczęłem szukać literatury na temat Indii, na temat aktualnych stosunków politycznych w tym kraju liczącym 350 milionów mieszkańców.

Po krótkim spacerze po warszawskich księgarniach ustaliłem, że poza znanymi mi i w znacznej mierze już przestarzałym tomem R. Palme Dutta pt. „Indie dzisiejsze” nie ma w języku polskim ani jednej książki publicystycznej o Indiach. Chodząc tak od księgarni do księgarni po Nowym Świecie, trafiłem do antykwariatu „Domu Książki”. I tu — w myśl rosyjskiego przysłowia o myśliwym, na którego zwierzyna sama leci — natychmiast wpadła mi do rąk książka pt. „Anglicy i Indie”. Było to dwutomowe dzieło Francuza, E. de Valbezen, wydane w 1860 r. nakładem Józefa Zawadzkiego w tłumaczeniu T. z Radwańskich Świątlickiej.

Otworzyłem pierwszą stronę i przeczytałem wstępne zdanie:

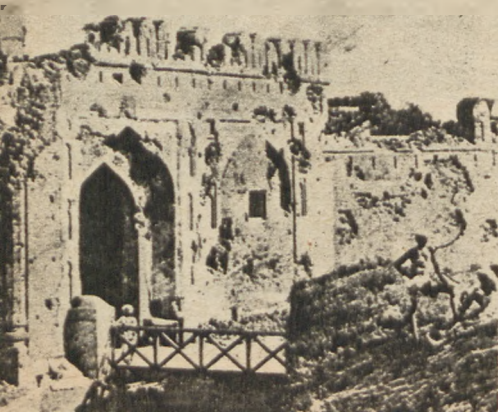
„Nie wiadomo, jaki los spotka z czasem dzierżawy angielskie w Indiach, może napady narodów sąsiednich, wewnętrzne zaburzenia, lub, co najpodobniej, może klęski wojen europejskich wydrą w przyszłości Anglii panowanie nad Indiami...”

To wystarczyło, bym kupił książkę, tym bardziej, że była nie oprawiona, a w myśl dziwnych zasad, obowiązujących w naszych antykwariatach, oznaczało to, że cena będzie dostępna. Przy bliższym zapoznaniu się z dziełem monsieur de Valbezena okazało się, że autor wiele lat spędził w Indiach, że dobrze znał stosunki w tym kraju i że — choć odnosił się z największym respektem do „szanownej”, jak pisał, Kompanii Wschodnio-Indyjskiej — potrafił nieraz ustosunkować się krytycznie do brytyjskich rządów kolonialnych w Indiach.

„NIEPRAWOŚCI CODZIENNE”

Autor zastrzega się więc, że „zapewne nikt tego życzyć nie może, ażeby dla specjalnych powodów ludzkości i sprawiedliwości Kompania anglo-indyjska, a z nią razem i cała Anglia

Cashmere Gate, jeden z ośrodków buntu sepojów, w chwilę po ataku Anglików



doprowadzone zostały dobrowolnie do moralnego samobójstwa”, czyli do rezygnacji z Indii — „perły korony brytyjskiej”. Z drugiej jednak strony pisze ze szczerym oburzeniem:

„Azali nie da się i tu przystosować tyśiąć razy powtarzane przysłowie o słomce w oku bliźniego, a belce w oku własnym, gdy rozważymy, że naród angielski, co się z takim zapalem głosi obrońcą uciśnionych ludów i tyle odbył meetin-gów na korzyść Węgrów i Polaków, tyle wydał speechesów (przemówień — przyp. red.) przeciwko cesarzom, austriackiemu i rosyjskiemu, milczy na nieprawości codziennie dopętlane w Indiach. Nieprawości, których współnikami... są urzędnicy angielscy!”

Nie mówi się tu o owych łotrach politycznych, co to przywodziwszy na się maskę wolności i patriotyzmu, dobijają się fortuny i wyniesienia niecnymi środkami; lecz o owym najszykaniej-szym nadużyciu władzy w zwyczajnych, pospolitych potocznych życia wypadkach, nie tyczących się bynajmniej bezpieczeństwa kraju; słowem mówi się tu o użyciu męczarni i tortur dla wymuszenia zeznań ofiar; o tych niewinnie na kajdanach więzienię- czących, o tych rodzinach krajowców niestłusznie pohańbionych...”

Autor francuski, co również zapisać należy na jego dobro, widzi, że to „najszykaniej-sze nadużycie władzy” przez kolonizatorów brytyjskich powoduje nienawiść i gniew ludności hinduskiej.

„Wypadki ostatnich lat dwudziestu — czytamy — dostatecznie dowiodły, na jak słabych dotąd fundamentach wspiera się i utrzymuje panowanie Anglii w Indiach... Ludowa sympatia nie ciągnęła krajowców ku Anglii... Wszystko to nie wzbudza w krajowcach ani wdzięczności, ani przychylności ku Anglikom. Anglik jest zawsze dla nich tylko panem, lub, co gorsza, wrogiem...”

De Valbezen zdaje sobie sprawę, jakie są wobec tego perspektywy rządów brytyjskich w Indiach, i pisze:

„Nie rozminiemy się z prawdą dowodząc, że jeśliby Komitet Dyrektorów (Kompanii Wschodnio-Indyjskiej — przyp. red.) polegać miał jedynie na wojsku krajowym dla utrzymania narodów w podległości w swej obszernej dziedzinie azjatyckiej, wkrótce by zaświtał ostatni dzień potęgi angielskiej na Wschodzie...”

BOGACTWO I NĘDZA

Ciekawe są fragmenty tej starej książki o Indiach, w których autor ukazuje sytuację gospodarczą kraju w połowie XIX wieku. Widzimy narastające bogactwo brytyjskich kolonizatorów i pogłębiającą się nędzę ludu hinduskiego.

„Grunt Indii — pisze de Valbezen — niedorównanie jest bogaty: ryż, indygo, bawełna, ziarna olejne bez uprawy rodzi ta ziemia szczęśliwa; co zaś do nie-których wyrobów — szalom Kaszmiru, muślinom Dakanu, mimo postępujących przemysłowi odkryć nauki, Europa dotąd dorównać nie może...” Toteż „wszystkie narody świata całego czynny udział

mają w handlu z Indiami... Handel z Indiami dostarcza najprzedniejsze przedmioty bogactwa świata całemu... Ludy (Indii) dzielami rąk swoich napętniają doki Londynu, Bordeaux, New Yorku i Kantonu...”

Jeśli zaś chodzi o ludność Indii, a przede wszystkim o chłopów hinduskie-go, to

„bambusowa chatka, maty, kilka miedzianych naczyń, niekiedy skrzynka z zameczkiem, oto jego sprzęty; za strawę ma misę ryżu i kilka bananów; oto są nie tylko potrzeby, lecz rzecz nawet można i zbytki Indianina...” „Wszyscy rolnicy są zadłużeni od nie wiedzieć już wielu pokoleń... Lichwiarskie procenty są to żywe i wieczne jęczące się rany Indii. Zdzierstwo tych, co potrzebującym pożyczają pieniądze, straszliwych niekiedy dochodzi rozmiarów...”

Nie lepiej powodziło się rzemieślnikom hinduskim:

„Krajowy rzemieślnik zarabia 3 do 6 funtów szterlingów rocznie, a Europejczyk zarabia przeszło 100 funtów...”

Toteż autor dochodzi do słusznego wniosku, że

„obszerne państwo indyjskie ze swą ogromną ludnością, swą ziemią tak hojnie od przyrodzenia uposażoną, swym olbrzymim handlem (który wszakże dotąd w kolebce zostaje), słowem, że Indie angielskie, które każdy Europejczyk przedstawia sobie jako krainę cudów, o niewyczerpanych skarbach, jako ziemię klasyczną, jako drzewo rupie (waluta hindusa — przyp. red.) gotowe rodzące — pod względem bogactw i płodów są nieskończenie niższe od najuboższego i najnieżyźniejszego kraju Euro-py...”

POWSTANIE SEPOJÓW

Pomimo tych kilku rozsądnych uwag autor francuski deklaruje swą całkowitą sympatię dla brytyjskich kolonizatorów:

„Gdyby, broń Boże, zagroziło dziś jakie niebezpieczeństwo dzierżawom Anglii, gdyby miedziennym jakimś Spar-takusowi przyszło do głowy podnieść sztandar buntu przy okrzykach ludowych, sercem całym podzieliłibymy sympatię naszą z białym przeciw czarnemu ple-mieniu, z oświeconym przeciw barbarzyńco-wi...”

Monsieur de Valbezen nie pomylił się. Ledwie zdążył dopisać do końca swą książkę, a „barbarzyńcy” hinduscy „podnieśli sztandar buntu” przeciw swym „oświeconym” ciemiężcom. W 1857 r. wybuchło słynne powstanie „sepojów”, czyli hinduskich żołnierzy Kompanii Wschodnio-Indyjskiej, które wnet porwało do walki wyzwolenczej znaczną część ludności Indii. Józef Zawadzki, jako dobry wydawca, uznał wobec tego za stosowne uzupełnić pracę de Valbezena dodatkami: krótkim szkicem Augusta Nicaise, również francuskiego autora, na temat tego powstania.

Nicaise, podobnie jak de Valbezen, jest zwolennikiem systemu kolonialnego; podobnie jak de Valbezen, traktuje Hindusów jako ludzi niższej kategorii. Tym większą wartość mają te fragmenty jego szkicu, z których wyłania się obraz walki narodowo-wyzwolenczej narodów Indii. Pisząc o przyczynach powstania, autor przyznaje, że Anglia „zbyt mało szanowała indyjskie narodowości...”, a nienawiść ludu tego ściągnęła na siebie... Autor widzi, że „krzywdy te (kolonizatorów angielskich) aż nadto są krzyczące”, stwierdza, że „lud musiał dostarczać powstaniu, ile mógł żołnierza” i przytacza opinię jednego z angielskich oficerów, że „roko-szanie biją się jak szatani...”

Dla poglądów ówczesnej burżuazji niezmiernie charakterystyczny jest wywód autora o „zgubnej roli” „wolności prasy w Indiach. Cytujemy:

„W liczbie podrzędnych przyczyn powstania w pierwszym rządzie należy pomieścić skutki, jakie sprawiła w Indiach wolność druku... Pisma te (w językach krajowych) wpłynęły w ręku krajowców stały się zgubnym narzędziem, gdyż otworzyły swe szpalty krytyce częstokroć nienawiści pełnej i wcale nie pobbajającej czynom tak Kompanii Anglo-Indyjskiej, jako też i rządu



Colin Campsell, późniejszy lord Clyde, głównodowodzący w walce z sepojami.

Królowej angielskiej. Tym sposobem potęgę angielską ponizono, okrzyczano i stosunkowo znacznie umniejszono w chwili, gdy powstanie wybuchło. Natychmiast użyto środka nieodzownie koniecznego, zniesiono pisma krajowe...”

Tak samo postąpili po 100 latach imperialiści brytyjscy w Kenii, gdzie w r. 1952 zamknęli wydawnictwa i szkoły murzyńskie. Tak samo postąpili, choć doświadczenia ubiegłych 100 lat w Indiach powinny były ich nauczyć, że nie ma takiej siły, która jest w stanie powstrzymać ruch wyzwolenczy przebudzonego do walki narodu.

Zdaje sobie z tego sprawę Nicaise, pisząc:

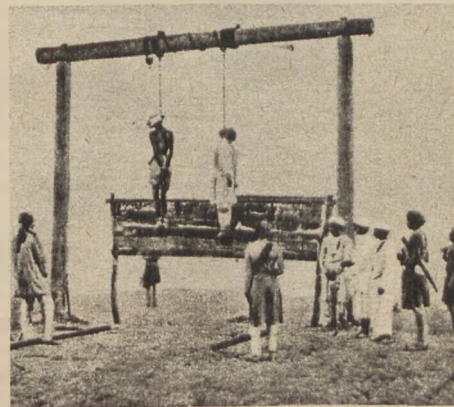
„...Przelana krew jest nasieniem płodnym tu, jak i we wszystkich wojnach, gdzie się toczy walka za wielką jaką zasadą, z poczuciem ważności swej sprawy. Może to być zdaniem naszym wielką nauką dla Anglii i dla świata...”

Powstanie „sepojów” zostało krwawo stłumione, lecz zwycięstwo dobrze uzbrojonej armii brytyjskiej nad niemal bezbronnym ludem hinduskim, bynajmniej — i słusznie — nie uspokoiło obaw ówczesnej burżuazji. Toteż Nicaise wręcz pisze o „bojaźni” przed „ogólnym wybuchem” w Indiach, przestrzega Anglię, że „powinna się wyrzec ducha podbojów” i przyznaje: „Wschodzi już, jak powiadają, jutrzienka szczęśliwej przyszłości dla Indii...”

Minęło 100 lat, i dziś najbardziej za-cietrzewiony imperialista brytyjski przyznaje, że epoka rządów angielskich w Indiach zbliża się prędko ku końcowi. Dziś Indie wywalczyły już formalną niepodległość. Komuniści hinduscy potrafili w ubiegłym roku odnieść wielkie zwycięstwo w wyborach do parlamentu Indii. Dziś wspomniany na wstępie Saifuddin Kiczlu oświadcza: „Międzynarodowa Stalinowska Nagroda Pokoju w rzeczywistości odznacza miliony ludzi w Indiach, którzy czynami swymi wykazali wobec świata, że nigdy nie pozwolą, by wykorzystano ich dla agresywnych knowań mocarstw imperialistycznych”. I wznosi okrzyk: „Niech rozkwita przyjaźń i solidarność narodu radzieckiego i hinduskiego”.

GRZEGORZ JASZUŃSKI

Ten dowód okrucieństwa Brytyjczyków wobec sepojów pochodzi z Picture Post.



ŚMIERĆ GLADIATORÓW



Gości witał uśmiechnięty generał

Gospodarzem był generał Smith, dowódca 7 dywizji piechoty. Z uśmiechem witał gości zajmujących miejsca w łóżach. Licznie stawiała się generalicja, wyżsi oficerowie, dygnitarze i dziennikarze. Każdy zaopatrzony był w pięknie wydrukowane zaproszenie w kartonowej, trójbarwnej okładce. Wewnątrz znajdował się szczegółowy program imprezy, zaopatrzony nagłówkiem „Scenariusz”. Sama impreza oznaczona została frywolną nazwą „Operation Smack” — „Operacja Cmoknięcie”.

„Cmoknięcie” rozpoczęło się punktualnie o godzinie 11 przed południem. Na dany sygnał zahuczała gwałtowna kanonada artyleryjska, samoloty amerykańskie wystartowały równocześnie z baz, obryzując pobliskie pasmo górskie gradem bomb i pocisków. Przygotowanie

ogniowe trwało równo godzinę, po czym zerwała się do ataku piechota amerykańska. Zaledwie jednak żołnierze amerykańscy przebiegli kilka kroków — zagrały ogniem linie przeciwnika. Albowiem „Operacja Cmoknięcie” nie była wcale grą wojenną ani manewrami, lecz przedstawieniem zainscenizowanym na prawdziwym froncie bojowym, na odcinku 31 pułku 7 dywizji piechoty amerykańskiej w Korei! Bezprzykładna w dziejach wojen „zabawa” zakończyła się krwawą masakrą żołnierzy amerykańskich, rzuconych na linie koreańsko-chińskie, by zademonstrować zaproszonym gościom, jak wygląda „prawdziwa bitwa współczesna”.

„Chińczycy — opowiadał potem swe przeżycia jeden z ocalałych żołnierzy amerykańskich — powitali nas morderczym ogniem. Pociski syptały się jak grad, zostaliśmy wzięci w krzyżowy ogień... Rozpętało się prawdziwe piekło... Dotarliśmy na odległość 15 jardów od szczytu wzgórza i ani kroku naprzód...”

Dziennikarz amerykański, Patrick S. Catling, opisywał na łamach dziennika „Baltimore Sun”

wrażenia tego niesamowitego dnia:

„Hollywoodzki film... okrutny pomysł... bitwa zaaranżowana według z góry przygotowanego scenariusza, rozdane widom. Odcinek frontu jako teatr liryczny, z generalicją w łóżach...”

Wieżę o tej barbarzyńskiej imprezie wywołała burzę nawet w Kongresie Amerykańskim. Kongresman Hoffman z Partii Republikańskiej mówił o „gladiatorach, którzy ginęli na arenie ku ucieście rzymskich cesarów i gawiedzi”. Kongresman Bray oświadczył, że operacja „Cmoknięcie” obudziła w nim „wstręt i oburzenie”.

Dziennik „Chicago Tribune” nazwał to „bezmąską masakrą” a „New York Daily News” — „kryminalną wręcz lekomyślnością dowódców”.

Oburzenie opinii amerykańskiej, gdy dowiedziało się, w jaki sposób szafuje się życiem żołnierzy, było tak wielkie, że sztab generalny uznał za konieczne wydać komunikat uspokajający.

Co oczywiście nie zmieniło postaci rzeczy, że tylko ludzie zupełnie zwyrodniali mogli wpaść na pomysł zaaranżowania tego typu imprezy na froncie i dla rozrywki, rzucić własnych żołnierzy na śmierć.



A po tym — rannych i zabitych znoszą z poboju

LIST FRANCUSKIEGO SS-MANA

Oto dokument bezprzykładnej wprost bezczelności: Zdracy i kolaboracjoniści, służący niegdyś w oddziałach SS, zwracają się z pogrózkami do ocalałych ofiar masakry w Oradour i do trybunału sądzącego morderców:



Pocztą Lotniczą Buenos Aires, 27 stycznia 1953 r.
Do Pana Brouillaud
Przewodniczącego Stowarzyszenia Rodzin z Oradour,
Bordeaux
departament Żyrondy, Francja
Panie Przewodniczący!

4.866 żyjących członków francuskiego SS, zjednoczonych w stowarzyszeniu ze stałą siedzibą w Kairze, śledzi z żywym zainteresowaniem nienawistny proces, toczący się obecnie przed nikczemną „sprawiedliwością” — tak zwaną francuską. Jesteśmy rozproszeni po świecie, ale zapisani i zjednoczeni w jednolitym związku w Egipcie, pewni, że któregoś dnia powrócimy i zażądamy rachunku!

Chcecie się mścić, ale to my się zemścimy! Bronicie bandyckich sabotażystów, którzy tchórzliwie i okrutnie strzelali w plecy niemieckich żołnierzy w okresie pełnej kolaboracji! Chcacie też skazać tych, którzy w obliczu

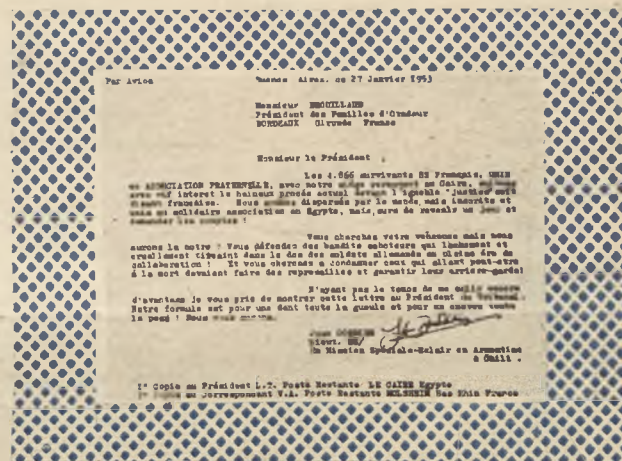
śmierci musieli uciec się do represji i zabezpieczyć swe tyty!

Nie mam więcej czasu w tym się babrać i niech pan pokaże ten list przewodniczącemu trybunału. Naszą zasadą jest — za ząb całą gębą i za włos — całą skórą! My wam pokażemy!

Jean Cordier
porucznik SS w misji specjalnej
w Argentynie i Chile.

Pierwsza kopia do przewodniczącego L. T. Poste restante.

Druga kopia do korespondenta V. A. Poste restante, Molsheim, departament Dolnego Renu, Francja.



Czyż można się jednak dziwić bezczelności sprzedawczyków, skoro jeden z najzagorzalszych kolaboracjonistów został powołany na stanowisko ministra w gabinecie Meyera, a parlament ogłosił amnestię dla morderców z Oradour?

Maluczko, a rząd francuski zaprosił stowarzyszenie byłych francuskich esesmanów z Kairu do Paryża, ofiaruje jego członkom dożywotnią rentę i ordery, a co bardziej „wykwalifikowanym” — wysokie stanowiska w armii europejskiej.

ZAPALKA JEST TO PRYZRZĄD...

PROBLEM był na pozór niezmiernie wąski: przed sądem stanęły dwie osoby, którym udowodniono zarzucane przestępstwa. Ale chociaż na ławie oskarżonych zasiadli tylko dwaj schwytani szpiegzy, Skrzyszowski i Sosnowski — to w rzeczywistości sądzonych było znacznie więcej przestępców i to o wiele większego kalibru: od niejakiego Benona, esesmana w amerykańskiej służbie, mówiącego po polsku, od rozmaitych „Bruno” i „Piterów”, poprzez arcyzdrajcę Zarembę, który za amerykańskie pieniądze nauczał, jak się w Polsce powinno szpiegować, poprzez całą plejadę amerykańskich „wykładowców”, specjalistów od wysadzania w powietrze fabryk, rozkręcania szyn, mordowania uczciwych Polaków — do kierowników polityki amerykańskiej, którzy dla swych brudnych imperialistycznych celów posługują się najbrudniejszymi zbrodnictwami metodami.

Sprawa wydać się mogła krótka: proces trwał jeden dzień, skazano na nim

szpiegów, którzy nie zdążyli oddać ani jednego wystrzału ze swych amerykańskich pistoletów, nie zdążyli przekazać ani jednej wiadomości przez amerykańską radiostację, nie zdążyli podpalić ani jednej fabryki według metod przyswojonych w amerykańskiej szkole szpiegowskiej, nie zdążyli nawet zażyć ampułek z cjankiem, w które dolarowi opiekunowie zaopatrują swych podobnych. Ale mimo to na procesie ujawnione zostało całe morze perfidnych metod, chwytów i „chwycików”, stosowanych przez najemników „armii maski i sztyletu”. Oto WIN-owiec Maciołek podkłada Amerykanom szpiega Skrzyszowskiego i wypozycza go wywiadowi angielskiemu; funty szterlingi nie śmierzają przecież bardziej niż dolary... Oto Amerykanie zamalowują znaki rozpoznawcze na samolotach, które naruszać będą granice krajów demokracji ludowej. Oto fałszywe dokumenty polskie, łącznie ze świadectwem szczepienia duru brzuszego, wypro-

duktowane przez speców w amerykańskim wywiadzie. Oto jedno zdanie z wykładu w amerykańskiej szkole szpiegowskiej: „Zapalka jest to przyrząd, służący do wywoływania pożarów...”

Sprawa była prosta i krótka, ale w zwięzły i jasny sposób ukazała nam cały arsenał metod stosowanych przez zbrodniczy imperializm amerykański w stosunku do krajów obozu pokoju. Pokazała nam w sposób już najbardziej bezpośredni, jakie jest główne zajęcie emigracyjnych polityków.

Przypomniała w sposób najbardziej przekonujący, że ani na chwilę nie wolno nam osłabiać czujności. Zbyt wiele krwi zaplamiłyśmy za nasz, z takim trudem zdobyty, byt niepodległy, byśmy mogli choć na chwilę zapomnieć o amerykańsko-

hlerowskiej spółce i jej narzędziach, o tych, którzy na naszą niepodległość dybą.

Zbyt wiele trudu i ofiarnego wysiłku kosztują nas nowe domy, szkoły i fabryki, byśmy mogli sobie pozwolić na jakąkolwiek pobłażliwość w stosunku do tych, dla których radio jest narzędziem do przekazywania szyfrowanych informacji szpiegowskich, a zapalka — przyrządem do podpalania.



Skrzyszowski i Sosnowski na ławie oskarżonych



Dyrekcja: JAN SZELĄG
Dekoracje i kostiumy: HA-GA

Bogdan Brzeziński BEZ KUMOTERSTWA

Osoby: Dyrektor i personel

DYREKTOR

Czy wszyscy tutaj są zebrani,
Czy może jeszcze kogoś brak?

REFERENT I

Wszyscy zebrali się w tej sali!

DYREKTOR

Wszyscy w komplecie?

REFERENT I

Wszyscy. Tak!

DYREKTOR

Więc przystąpimy wprost do rzeczy,
Czyli — jak mówią — wprost do sedna.

Nikt, proszę państwa, nie zaprzeczy,
Ze kumoterstwo — rzecz to wredna!
Ze kto się o te sprawy otrze,
Z odrazą mówi o kumotrze.
Oto okólnik numer trzysta,
Który podkreśla i nadmienia,



Ze kto z protekcji chce korzystać,
Temu się powie — „do widzenia!”
Od dzisiaj bliscy oraz krewni
Nie będą swoich posad pewni!
Wszystkich przesieje się przez sito,
Sprawdzi się: kto? I krewny — czyj?
Ankiety trzeba zbadać, czy to
Aby nie szwagier, albo stryj...
W ten sposób z wszystkich biur wnet
zniknie
Bagienko kumotrów, sitw i klik! Nie?

REFERENT I

Rzecz jasna!

REFERENT II

Brawo!

REFERENT III

Tak!

REFERENTKA

A jakże!

REFERENT I

To złote słowa, drogi szwagrze!

REFERENT II

Kliki się znajdują wnet w potrzasku..
Pięknie ująłeś to, wujaszku!

REFERENT III

Braciszek gada, jak Cynceron...



REFERENT IV

Stryj? Jeszcze lepiej! Jasny pieron!.. Rzecz jasna! Pewnie!

REFERENTKA

Wszystkim znajomym mówię wciąż, Tak, a jakże!
Ze tęgą głowę ma mój mąż!

STARSZA REFERENTKA

To dla kumotrów jest nauczka!
Pochwalam, owszem, proszę wnuczka.

DYREKTOR

(wielce zadowolony)

Więc sprawa jasno postawiona,
Rzecz omówiona — załatwiona!
Mogę napisać do Centrali,
Zeby w Centrali się nie bali,
Bo wszyscy tu, rzecz oczywista,
Znamy okólnik numer trzysta!

STARSZA REFERENTKA

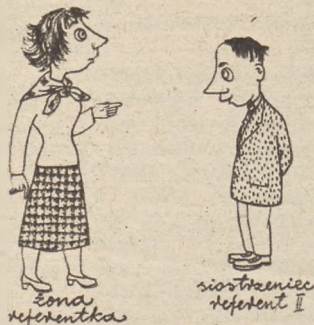
Drogi mój wnuku! Jedna sprawa...
Skoro popierać nie masz prawa,
Jakże posadkę zrobić da się
Dla Stefcia, co poślubia Basię?
Wszak dla nowego masz krewnego
Posadę zrobić — od pierwszego!

DYREKTOR

Masz diable kaftan!... A to heca!
Okólnik tego nie zaleca..

REFERENT V

Radź coś, kuzynie! Bo inaczej
Basia — biedactwo — się zapłacze.



DYREKTOR

Mam! Ha, myśl przednia! Z niej
wynika,

Ze nie obrażę okólnika..
Chociaż już jutro ślub wziąć mają,
Niechaj na razie się wstrzymają.
Pierwszego Stefcia (niech
pamięta!)

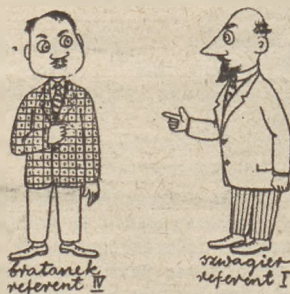
Otrzyma miejsce referenta,
A zaraz już drugiego, lub
Trzeciego mogą wziąć ten ślub..
W ten sposób czysta jest ankieta:
Obcego wzięło się faceta!
A że się później mi skuzynił —
Nikt mnie nie będzie za to winił!

REFERENT III

REFERENT II

REFERENT I

To złote słowa, drogi szwagrze!



DYREKTOR

(niezwykle zadowolony)

W ten prosty sposób z biur wnet
zniknie
Bagienko kumotrów, sitw i klik! Nie?

KURTYNA

spada przez protekcję kurtyniarza.

Droży Czytelnicy!

Redakcja nasza z zadowoleniem stwierdza, że Czytelnicy coraz częściej w swych listach oceniają — łagodnie lub surowo — „Świat”, pomagając w ten sposób zespółowi w redagowaniu pisma. Pochlebne uwagi sprawiają nam — rzecz jasna — dużą przyjemność, ale znacznie cenniejsze są dla nas krytyczne głosy Czytelników. Redakcja i poszczególni autorzy biorą je zawsze pod uwagę. Często stają się one powodem dyskusji i sporów. Sądźmy też, że ogół Czytelników powinien poznać treść tych uwag, skonfrontować je z własnymi spostrzeżeniami.

Oddajemy więc głos grupie Czytelników z Gdyni, którzy w nadesłanym do nas liście piszą m. in.:

„Jesteśmy stałymi czytelnikami „Świata”, który bardzo lubimy. Chcielibyśmy (tak jak i Redakcja na pewno) żeby „nasze” pismo było coraz lepsze. Dlatego pozwalamy sobie na kilka słów krytyki.

Jeżeli chodzi o zdjęcia, to dlaczego niektóre są takie duże, chociaż nie ciekawego na nich nie ma do oglądania? Np. zdjęcie sterty buraków cukrowych w Nr 2 (77). Poza tym stanowczo za mało humoru. Czy nie można by więcej dawać wesołych rysunków?

Z zainteresowaniem czytamy dział „Świat filmu”. Chętnie widzielibyśmy „Kącik teatralny” dający aktualia teatralne.

„Teatr Świata” daje widowiska raz lepsze, raz słabsze, ale jeśli idzie o „kostiumy i dekoracje”, czyli ilustracje, to czasami nas aż dziwi, że coś takiego każe nam oglądać. Stale te same figurki w tych samych pozach i z wybaluszonymi oczami bez żadnego wyrazu.

Dlaczego tak rzadko dajecie kącik „Przez lupę i lunetę”? Takie ciekawostki są b. mile widziane (wiemy, że nie tylko przez nas).

Nie wiemy, czy nasze uwagi krytyczne wpłyną na zmianę „Świata”, ale bez względu na to, uważaliśmy za konieczne podzielić się z Wami naszą opinią.

Zyczymy całej Redakcji owocnej pracy i zasłanym pozdrowienia”.

Jeśli idzie o ocenę rysunków Ha-Gi, redakcja jest innego zdania, zanim jednak uzasadnimy nasze stanowisko, chcielibyśmy usłyszeć także głosy innych Czytelników na ten temat.

Tak się złożyło, że tym razem „na cenzurowanym” znalazły się rysunki. Ob. Jan Badura z Szopienic, wspominając o niezadowolającej jakości druku, pisze m. in.:

„...Rysunki wyglądają lepiej, o ile rysownik dobry rysunek wykona. I tu muszę stwierdzić, że jak dotąd „Świat” nie ma szczęścia do rysowników. Rysunki do opowieści poważnej treści wszystkie jakieś w dziwnej karykaturze, nieodpowiedniej do treści, narysowane na dobitkę jakąś dziwną makulaturą węglową. Nie dziwiłbym się, gdyby „Świat” był drukowany wśród dymu z kominów w Katowicach, ale z Warszawy — z tej odmiłdzonej stolicy, z nowymi maszynami drukarskimi, chcemy widzieć „Świat” jak najpiękniejszy. Przyznam się, że już od najmłodszych lat — a tych mam dotąd 77 — jestem wielkim amatorem dobrych książek i czasopiśm (przy tym też „rozrywkarzem umysłowym”). Nie pale, nie używam gorących trunków, za to abonuję i czytam oprócz „Świata”, „Film”, „Przekrój”, „Przyjaźń”, „Zołnierz Polskiego” i trzy dzienniki polskie: „Ogoniok”, a z niemieckich „U. Rundschau”, „Frischer Wind” i „Neue Berliner Illustrierte”.

Zaznaczam, że te ostatnie pisma graficznie są bardzo dobrze wykonane. Kiedy tak też u nas będzie?”.

Drogi Czytelniku, w tej dziedzinie i u nas następuje stopniowa poprawa. Możemy Was przy tym zapewnić, że pracownicy drukarni dokładają wiele starań, aby polepszyć szatę graficzną „Świata”.

Ob. Żurawska z Krakowa, Ob. Komenda z Krakowa, Ob. Szufa z Bielska, Ob. Domański z Moratyna — listy Wasze, zawiadamiające o posiadaniu starych skrzypiec, przekazaliśmy Ministerstwu Kultury i Sztuki, które wydeleguje swoich specjalistów do zbadania wartości instrumentów.

Ob. Dębski z Kłodzka — list Wasz również przekazaaliśmy Ministerstwu Kultury i Sztuki.

Ob. Wojak z Wrocławia — Macie rację, że Antoni Stradivarius umarł w roku 1737. Podana przez nas data 1736 była wynikiem niedopatrzienia redakcji.

„ŚWIAT”

KOMUNIKAT

Podaje się do wiadomości prenumeratorów, że począwszy od dnia 16 lutego br. prenumeratę należy zamawiać tylko w placówce pocztowej lub u listonoszy właściwego rejonu doręczeń, na terenie którego zamieszkuje prenumerator.

SWIAT

TYGODNIK ILUSTROWANY
Redaguje Komitet
Wydawca: R.S.W. „PRASA”

Redakcja: Warszawa, Nowy Świat 58. Telefony: Red. Naczelny: 6-10-69. Centrala 6-11-81, 6-12-88. Administracja: Warszawa, Wiejska 12, tel. 7-52-50. Prenumerata miesięczna zł 4,80, kwartalna zł 14,40, półroczna zł 28,80, roczna zł 57,60.

Zakłady Wklesłodrukowe i Introligatorskie RSW „Prasa”
Warszawa, Okopowa 58/72.
Zam. 94, Papier rotogr. V/80—82 cm. — 4-B-12151

LENGREN



— „Nie, proszę pani, cieńszych nylonów od tych na razie nie mamy.

LUPE LUNETE

W DÓŁ CZY W GÓRĘ?

Trzymamy w ręce kamień. Puszczamy go. Kamień pada. W którą stronę leci? Każdy odpowie: „w dół” — i nikogo to nie dziwi. Teraz wyobraźmy sobie mieszkanka Patagonii (Ameryka Płd.), który także puszcza trzymaną w ręce kamień. I jego kamień pada „w dół”, chociaż leci w przeciwnym kierunku, niż nasz.

Przyzwyczajaliśmy się kierunek, wskazujący środek masy ziemi (w tym bowiem kierunku padają wszystkie swobodnie puszczane ciała na ziemi) nazywać „w dół”. Naukowo jest to nieścisłe — gdyż w astronomii nie istnieje pojęcie „w dół” ani „w górę” — ale na użytek codzienny nam odpowiada. Podobnie przyjmujemy, że dwa zawieszane obok siebie pionowo wieszaki, chociaż w rzeczywistości linie te przeczną się w owym środku

masy ziemi. Różnica jest bowiem tak mała, że praktycznie nie bierze się jej pod uwagę.

NIEPOSŁUSZNE STOPY

Mowa nie o stopach naszych nóg, ale o stopach metali. Wiadomo, że np. nikiel i miedź można stopić ze sobą w dowolnym stosunku; każda ilość miedzi rozpuszcza się w dowolnej ilości niklu i na odwrót (nasze monety: 10, 20, 50 gr. i 1 zł. są właśnie wykonane z roztworów miedzi w niklu).

Ale te nieograniczone rozpuszczalność spotykamy nie u wszystkich metali. Spróbujmy stopić razem cynk i ołów. Okaże się, że płynny cynk z drobną ilością ołowiu pływa na górze, a płynny ołów z drobną ilością cynku — na dole. Stop, zawierający np. 50% cynku i 50% ołowiu jest niemożliwy do otrzymania.

SZACHY

ROZWIĄZANIE ZADANIA POZAKONKURSOWEGO

1. Hd8 Gh7 2. We5+ (groźba) 1...d:e3 2. Hd2 1...Gf7 2. Sh4+.

ROZSTRZYGNIECIE VIII KONKURSU ROZWIĄZANIOWEGO

ROZWIĄZANIE ZADANIA

A 71. 1. Sd7

A 73. 1. Hc4

A 75. 1. Ge3 z groźbą 2. Wc5+; 1...Kh8 2. Wg1

A 77. 1. Kb5 z groźbą 2. Hc5+; 1...Sd4+ 2. K:c4 1...Sd6+ 2. Kc6

A 79. 1. Wg4 z groźbą 2. Hd1; 1...Sb3 2. Hg1 1...Sc2 2. Sf3+

B 72. 1. Gc8! W:c8 2. Wa8+! K:a8 3. H:c8+ Wb8 4. Hc6+ Wb7 5. Ha4+ Kb8 6. He8+ z matem w następnym ruchu.

B 74. 1. Wc4+ d:c4 2. Ha7+ Kb5 3. a4x

B 76. 1. Gf8! (Abrahams-Winter, Londyn 1946)

B 78. 1. Seg5 H:g5 2. Wh8+ K:h8 3. S:f7+ (Yates-Reti, New York 1924)

B 80. 1. g:f6 S:g6 2. h:g6+ Kg8 3. Wh8+ K:h8 4. f7 (Zuckertort-NN, Berlin 1874)

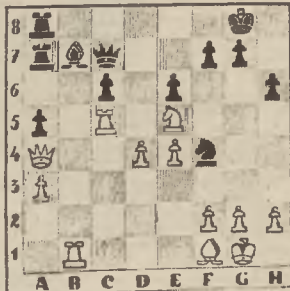
Nagrody za dobre rozwiązanie zadań wylosowali następujący Czytelnicy: 1) W. Bartosiak, 2) A. Belling, 3) Z. Kusy, 4) A. Skowroński, 5) M. Węgrzyński. Nagrody wysyłamy pocztą i prosimy o potwierdzenie odbioru.

MECZ SZACHOWY „Świat” – Czytelnicy

Odpowiedzi Czytelników na 26 posunięcie Redakcji wyróżniały się stosunkowo dużą zgodnością. Tak więc w partii W1 ponad 85% Czytelników zaproponowało posunięcie We8—a8, w partii W201 wszyscy Czytelnicy oprócz dwóch wybrali Hd4:a1, zaś w W21 całe sto procent głosów padło na ruch Wd6:d2. Rozbieżności były jedynie w partii W200, gdzie przeszło ostatecznie Wf8:f5 (36,1%) przed Wf8—e8 (34,8%).

Po uwzględnieniu kolejnego posunięcia Redakcji nasze partie wyglądają następująco:

PARTIA W1



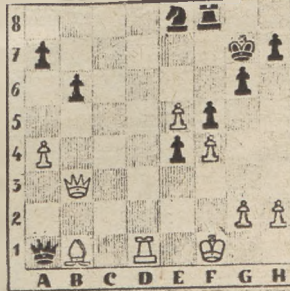
25. Gd3—f1 Wa8—a8
26. Sd2—c4 We8—a8
27. Sc4—e5

PARTIA W200



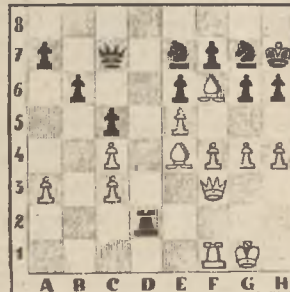
25. Hf3—g4 Hd8—d7
26. Gc1—h6 Wf8:f5
27. Gb1:f5

PARTIA W201



25. Wd1:c1 Hd8—d4+
26. Kg1—f1 Hd4:a1
27. Wc1—d1

PARTIA W21



25. He2—f3 Wd7—d2
26. Wa2:d2 Wd8:d2
27. h2—h4

Przypominamy, że odpowiedzi na 27 posunięcie Redakcji należy wysłać najpóźniej we wtorek, 3 marca b.r.

ROZRYWKI UMYSŁOWE

ROZWIĄZANIE ZADANIA Z NR 74-75

WIROKWADRAT: opilek, akant, atleta, nacja, palant, Atena, patera, galop. Kwadrat magiczny: Galata, amant, Latona, anonim, tanina, ataman.

Za dobre rozwiązania zadań z nr 74-75 nagrody książkowe otrzymują:

1) K. Auriga — Kraków, ul. Pędzichów 2, 2) E. Bajkowski — Pabianice, ul. Gw. Lud. 3, 3) S. Gara — Lublin, ul. Kliniczna 2, 4) K. Jurkiewicz — Bydgoszcz, ul. Łokietka 4, 5) H. Jutta — Łódź, ul.

Piotrkowska 251, 6) S. Kamiński — Błonie k/W-wy, Fabryka zapalek, 7) M. Karwańska — Radość k/W-wy, ul. Stalina 38, 8) J. Kirkor — Sopot, ul. Wybińskiego 31, 9) Z. Kotowski — Warszawa, ul. Kałiska 9, 10) L. Krycka — Warszawa, ul. Targowa 70, 11) E. Kukowski — Lipno, obok Poczty, 12) J. Leyki — Mielec, ul. Daszyńskiego 21, 13) K. Malaszkiewicz — Wrocław, ul. Głogowczyka 14, 14) J. Panek — Kraków, ul. Krowoderska 26, 15) N. Pilecka — Wrocław, ul. Osobowicka 131,

16) W. Ryńca — Warszawa, ul. Puławska 28, 17) W. Sokolowski — Piaseczno, ul. Puławska 16, 18) M. Tylman — Szczecin, ul. Styki 27, 19) E. Walczak — w. Wielawino, pow. Szczecinek, 20) M. Zarebska — Katowice, ul. 27 Stycznia 7.

Nagrodę autorską otrzymuje Karol Piodorowicz — Skarżysko-Kamienna, ul. Daszyńskiego 115.

Nagrody wysyłamy pocztą i prosimy o potwierdzenie ich odbioru.

ROZWIĄZANIE ZADANIA Z NR 76

LOGOGRYF: „Dosiego Roku” (dezyderat, Szolochow, napastnik, konfitury, sekretarz, nawigacja, Sosnowiec, Niekrasow, Ostrowski, struktura, spekulant).

DOPELNIANKA: Nowy Rok (partner-partner, szczeposzczep, akacje - wakacje, wyprawa - wyprawa, bulion-brulion, strawa - Ostrawa, leuszcz - kleszcz).

Za dobre rozwiązanie zadań z nr. 76 nagrody książkowe otrzymują:

1) Z. Biedroń — Kraków, ul. Sienna 17, 2) H. Dąbrow-

ski — Olsztyn, ul. Słowackiego 6/8, 3) E. Frenkiel — Warszawa, ul. Asfaltowa 13, 4) B. Głowacka — Warszawa, ul. Sekocińska 16, 5) S. Grabowski — Płock, ul. Piekarska 17, 6) Z. Kasputis — Łódź, ul. Gdańska 106, 7) J. Marcinkiewicz — Otwock, ul. Moniuszki 46, 8) E. Mikołajczak — Poznań, ul. Czarnieckiego 5, 9) W. Nowicki — Warszawa, ul. Foksal 17, 10) S. Pionka — Bielawa, ul. Bierańska 46, 11) F. Podgórecki — Katowice, ul. Andrzeja 19, 12) Z. Pearska — Nivka k/Myslowic, ul. Mickiewicza 1, 13) L.

Schmidt — Wrocław, ul. Kamienna 3, 14) E. Sikora — Rudnik, ul. Grunwaldzka 3, 15) T. Tomaszewski — Katowice, ul. Mikołowska 9, 16) W. Urbanski — Międzyrzec, ul. Warszawska 53, 17) A. Wachowski — Inowrocław, ul. Stalingradzka 51, 18) M. Wujkiewicz — Zielonka, ul. Podleśna 7, 19) C. Zamiński — Ożarów, ul. Poznańska 27, 20) L. Zonik — Warszawa, ul. Marymoncka 67.

Nagrody wysyłamy pocztą i prosimy o potwierdzenie ich odbioru.

SPROSTOWANIE

Niektórzy Czytelnicy zwrócili uwagę Redakcji na niezamierzoną rozrywkę umysłową w poprzednim numerze naszego pisma, gdzie na skutek niedopatrzenia zostały przedstawione dwa rysunki w dziale rozrywek. Redakcja przeprasza Czytelników za tę dodatkową trudność w rozwiązywaniu i tak już niełatwych zadań, i informuje, że termin nadsyłania rozwiązań tych zadań zostaje przedłużony o tydzień.



WIOSNA 1953

Deszcz... plucha... rtec na termometrze skacze w górę... A zatem wiosna?

Tego nie jesteśmy absolutnie pewni. Dziesięć dni temu był mróz siarczysty — i za kilka dni znowu może się oziębić.

Niemniej kalendarz mody śmiało możemy już otworzyć na rozdziale: „Wiosna 1953”.

Wiosna w modzie kobiecej, to przede wszystkim kostiumy, kostiumy, kostiumy!

Jakie będą modne w nadchodzącym sezonie?

Popatrzcie na zamieszczone zdjęcia: model na pierwszym planie u góry jest czymś pośrednim między tzw. wdziankiem a kaftanikiem naszych prababek. Czy się przyjmie? Chyba tak, bo jest bardzo wygodny, daje dużą swobodę ruchów (co zwłaszcza przy wsiadaniu do autobusów bardzo się przydaje).

Na przykładzie dwóch pozostałych modeli widzimy, że modne są żakiety krótkie i wcięte. Model na dalszym planie u góry jest na trzy guziki w trójkąt i posiada oryginalny wykrój — przyjrzyjcie się połam.

Model u dołu jest bardzo skromny i ogromnie młodzieńczy, dzięki zapięciu pod szyją i maleńkiemu kołnierzykowi.

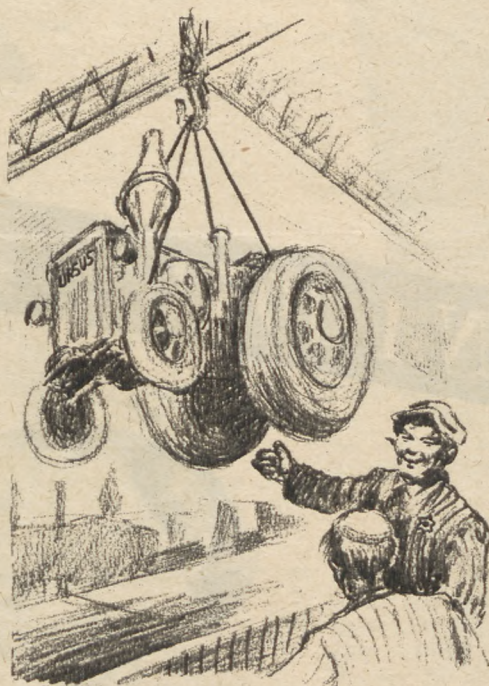


POWRÓT ZE ZJAZDU SPÓŁDZIELCÓW



Kulak: Po co tam jeździliście? Przecież ja bym wam też doradził...
Spółdzielca: Właśnie uradziliśmy nie słuchać nigdy waszych rad!...

Rys. Charlie



Rys. Szymon Kobyliński

— Ten wykonany ponad plan, to dla mojej rodzinnej Spółdzielni!...



Rys. Szymon Kobyliński

— W tamtej części domu dziadzio wspomina stare dobre czasy...

Stosując w codziennej pracy wskazania Bolesława Bieruta załogi wielu fabryk przedterminowo realizują swe plany.

(z prasy)



IBIS

— Jeden człowiek pomógł nam zwyciężyć trudności w wykonaniu planu.

— Jeden człowiek?!

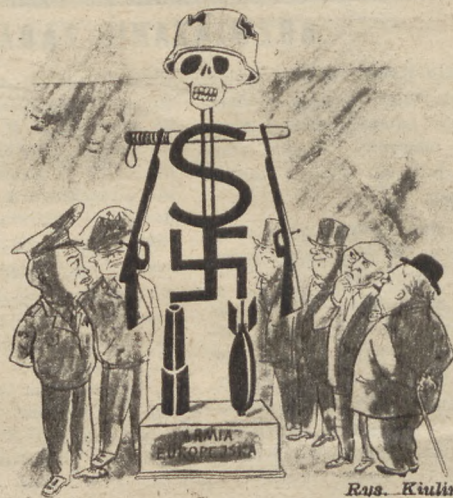
— Tak, Prezes Rady Ministrów, Bolesław Bierut.

Zamieszkały w Düsseldorfie główny sprawca masakry mieszkańców francuskiego miasteczka Oradour, gen. SS Lammerding, nie był sądzony, ponieważ władze angielskie oświadczyły, że nie znają jego miejsca zamieszkania.



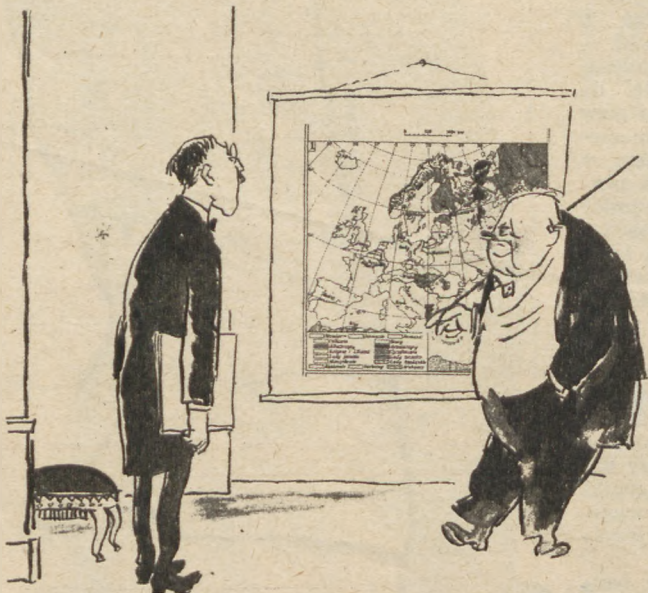
Rys. Stefan Brzozowski

— Niewidymka



Rys. Kulcin

— No tak, panowie, szkielet już mamy, ale skąd weźmiemy mięso... armatnie?!



Rys. Stefan Brzozowski

— Panie premierze, morze zatopiło trzy nasze wioski, utonęło 1500 ludzi.

— Morze, morze — pan może myśli, że ja tu siedzę dla 1500 utopionych ludzi? Mnie obchodzą całe miliony!



Rys. Krumm

Oś Waszyngton — Watykan